

BIBLIOTEKA MIŁOSNIKÓW SCENY.

39-40.

ZYGMUNT NIEDŹWIECKI  
**HUMORESKI SCENICZNE**

TLÓMACZONE

dla dwu osób grających.

II.

Na publicznej drodze. — W godzinę  
rozstania. — O 4 - ej zrana. — Ranna  
wizyta. — Listy miłosne.

WARSAWA. JAN FISZER.

BIBLIOTEKA MIŁOŚNIKÓW SCENY

---

39-40.

ZYGMUNT NIEDŹWIECKI

# HUMORESKI SCENICZNE

— TŁÓMACZONE —

dla dwu osób grających.

II.

Na publicznej drodze. — W godzinę rozstania. — O 4-ej  
zrana. — Zaproszenie na bal. — Ranna wizyta. —  
Listy miłosne.

WARSZAWA — JAN FISZER.





45659/2

Geprüft und freig. durch die Kais. Deutsche Presseabteilung  
Warschau, den 3/VIII 1918. T. № 10880. Dr. № 65.

Druk W. Cywińskiego, Nowy - Świat 36, w Warszawie.

K-86/77/67818

## NA PUBLICZNEJ DRODZE.

Krotochwila w 1 akcie — z niemieckiego wolny przekład  
Z. Niedźwieckiego.

OSOBY: *Adela Bilska (młoda wdówka).*  
*Dr. Karski (lekarz).*

*Rzecz dzieje się w miejscu kąpielowem.*

*(Elegancki salonik, drzwi z lewej i w głębi, okno z prawej, w środku puf z kolumną, na niej wazon z kwiatami, na prawo i lewo fotele i stoliki, z lewej kanapka, z prawej przybory do szycia, nożyczki — z lewej gazeta, książka, syfon wody sodowej; szklanka — pianino, biurko. Drzwi w głębi, prowadzące do przedpokoju, otwarte cały czas).*

### SCENA 1.

ADELA (sama).

*A. (w eleg. toalecie spacerowej z sporym trenem wchodzi szybko głębią i zwracając się, wzburzona, ku drzwiom z lewej:) Marysiul... Marysiul.. Proszków burzących, albo wody sodowej!.. (rzuca się na fotel z wyczerpania). Prędko, prędko...*



A prawda!.. tu stoi syfon... Już nie trzeba!.. (*na lewa, pije*). Tak... to mnie orzeźwił!.. (*chodząc tam i nazad w wzburzeniu*). Możeby się przebrać?... Albo nie!... (*do publ.*) Czy kto z państwa jest tego zdania, że tren u tej sukni jest za długi?... Tak — czy nie?... Więc rzeczywiście jest za długi?... Naturalnie!... za długi!... Ja sama winna jestem wszystkimu... Sama ściągnęłam na siebie całe to zajście, na wspomnienie którego złość i wstyd mnie ogarnia... (*pada na puf z łkaniem—zrywając się nagle*). Marysiu!... nożyczki!... (*bierze je ze stolika z prawej*). Już nie trzeba!.. Skoro tren jest za długi — od czegoż nożyczki?... Jedna sekunda — i już po trenie (*obcina tren spiesznie—potem z ulgą*). Aa!.. Tak!.. Teraz jestem spokojna!.. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że po takiej zniewadze, jaka mnie dziś spotkała, nie dam się już z pewnością nigdy więcej skusić do wyjścia na spacer w takiej długiej sukni!.. Ale przez Bóg żywy! kto mógł być ten śmiałek, co miał odwagę napadać mnie z podobnymi uwagami... Jakiś zupełnie nieznamy mężczyzna zaczepia mnie ni stąd ni zowąd na środku drogi i żąda, żebym podniosła tren, ponieważ pył, który nim wzbijam, szkodzi płucom gości kąpielowych! i t.p. Czy to nie oburzające?!.. Taki bezwstyd! Coś podobnego mu też mniej więcej odpowiedziałam... Ale co mnie najbardziej gniewa, to, że do jego uwagi zastosowałam się natychmiast... Po prostu ze strachu, żeby zuchwalec nie zrobił jeszcze większej awantury. Ugięłam więc suknię, jak tylko mogłam najwyżej, najpierw z przelęknięcia, a potem i dlatego, żeby się przekonał na własne oczy, że jeśli tren u mej sukni jest tak długi, to nie dla tego bynajmniej, ażebym miała duże nogi — a on się uklonił z zadowoloną miną i iro-

nicznie uśmiechnięty — poszedł! Ja jednak wróciłam do domu w największej irytacji i jest mi teraz tak okropnie!.. ale to tak okropnie!!... Czulałam się zresztą cierpiącą jeszcze przed przybyciem tutaj... a teraz mi jeszcze gorzej... Nerwy moje domagają się jak największego spokoju!.. Ale naturalnie — jeżeli kogo spotykają takie niespodzianki — to można się obawiać wszystkiego!.. Cała moja nadzieja w poczciwym doktorze, który musiał już wyczytać moje nazwisko w liście przybyłych osób i niezawodnie się tutaj dziś, jutro, pokaże. Poproszę go, aby dał temu młodzikowi porządną nauzkę! Możeby nawet do niego napisać... Do swego starego przyjaciela i opiekuna nawet wypada poniekąd... (*siada i pisze*). „Szanowny Konsyliarzu!.. Przyjechałam przedwczoraj i oczekuję Pana niecierpliwie... Adela Bilka“ (*zakleja i idąc w głąb*). Do willi doktora dwa kroki — każę zanieść Marysi... Marysiu! odnieść to zaraz (*d. s.*). Niech chociaż poczciwe stare doktorzysko ożywi moją samotność... O! bo ja się nie urodziłam do takiego życia, ani na starą pannę, ani tem bardziej na wdowę... której w dodatku pierwszy lepszy facet na spacerze robi awantury — o tren u sukni! (*wychodząc w lewo*). Doktorze! przybywaj!.. Niech się mam komu poskarżyć przynajmniej!.. (*wychodzi w lewo*).

## SCENA 2.

*Dr. Karski (wchodzi głąbią).*

K. (*sam, z listem w ręce*). Jakaś pokojóweczka oddała mi to przed samym domem: „Więc pani w domu?... A czy przyjmuje?...“ — „Zaraz się spytam, proszę pana“. Mały pirucek na pięcie, mały



rumieńczyk i kokieterijny błysk ślepkami — a w chwili kiedy dochodziłem progę: — „Pani kazała prosić, proszę pana”. — Bardzo ładna pokojóweczka. — Jeżeli jej pani jest równie ładną, co się czasem i paniom zdarza, będę miał w tym domu dwie pokusy, jedną w przedpokoju, drugą w salonie, o co się wcale nie gniewam... Pani Biłska... Hm?... Nie znam... Czy nie jest to przypadkiem ta tak często w listach mego stryja wspomnianą pacjentką jego, o której stary mówi z zapałem, przynoszącym zaszczyt jego sześćdziesięciu pięciu latom?... Co prawda my, Karscy, przepadamy wszyscy co do jednego za kobietami, ja zaś przepadam tak dalece, że stryj radzi mi się jaknajprędzej ożenić, co mnie podobno uspokoi, bo wszyscy Karscy byli jak świat światem wzorowymi mężami: druga cnota rodzinna! Zdaje się nawet, że w tym to właśnie celu kazał mi się stryj tutaj zastąpić na stanowisku ordynującego lekarza w tym sezonie, abym wpadł w sidła tego amorka, co skruszonych grzeszników prowadzi po wielu przeżytych awanturkach miłosnych — do ołtarza. No! taki amorek będzie miał ze mną ciężką przeprawę, bo mnie się przygody sercowe w lżejszym stylu wcale jeszcze nie sprzykrzyły. — Ale jakoś tej tak wystawianej pani Biłskiej nie widać... A!...

### SCENA 3.

*Karski — Adela.*

A. (*wchodząc z lewej — nie patrząc jednak nań*). Witam serdecznie po tak długim niewidzeniu!...

K. (*n. s.*). Nieba! — ależ to właścicielka owego trenu w parku. (*gł.*) Łaskawa pani życzyła sobie...

A. (*poznawszy go — oburzona*). Co?!... Pan tutaj?!... Na krok podobny brak mi nazwy! A może pan przychodzisz powtórzyć mi w mojem własnem mieszkaniu swoje obrażające upomnienia?...

K. Nie, najłaskawsza pani, sądzą bowiem, że jednorazowe ich wygłoszenie wystarczy...

A. Jeżeli pan przyszedłeś mnie przepraszać...?

K. I to nie. Chybaby pani zdołała wpierw mnie przekonać, że postąpiłem niewłaściwie.

A. Przyszłoby mi to z łatwością. Postępek pański był tak nietaktowny...

K. Miał on jedynie na celu pożytek cierpiącej ludzkości.

A. Dajmy na to — niemniej był ubliżający. Ni stąd ni zowąd, kobiecie nieznaomej... kazać...

K. Kazać?... Ja przecie prosiłem!

A. Ale w formie, wykluczającej wszelki opór, co równa się rozkazowi.

K. Rozkaz czy prośba — pani sama uznałaś jej słuszność, zastosowując się do niej tak prędko i uginając zbyt powłóczyściej sukienki...

A. (*n. s.*). Impertynent! (*gł.*). Mój panie, ja nie wiem doprawdy...

K. Czem jest ciężka choroba płuc, bo w przeciwnym razie cudaczna moda długich trenów wydałaby się pani z pewnością równie naganną, jak wszystkim rozsądnym ludziom. Na lustrzanej posadzce salonu, i dobrze wytrzepanych dywanach i owszem, — ale w miejscowości kuracyjnej, dokąd się ludzie chronią przed kurzawą wielkich miast, będę zawsze nieubłaganie zwalczał tę barbarzyńską modę...

A. I jakimże to prawem, proszę pana?

K. Pani mnie o to pyta — wezwawszy mnie do siebie nie dawniej jak przed chwilą?...



A. Ja pana wezwałam?... Pan się myli. Przeciwnie, obecność pańska jest dla mnie w całym słowie znaczeniu...

K. Przykrą i zbyteczną?... Uwolnię więc panią od niej natychmiast — zwróciwszy pani wpiery, jako dowód list, którym sama mnie do siebie wezwałaś (*kładzie list na stoliczku i z ceremonialnym ukłonem wychodzi głębia*).

SCENA 4.

ADELA (*sama*).

A. To nie do wiary!... Jak ta Marysia mogła go tutaj wpuszczać?... Ale co znaczy ten list?... (*spojrzawszy na list*), JAKTO?... Mój list do doktora w jego rękę?... Zapewne asystent, zastępujący chwilowo Karskiego... Ależ to zmienia postać rzeczy. Miał więc prawo czynić mi w parku wymówki... miał prawo przyjść tu... Niemiła historia... Co teraz czynić?... Jeżeli towarzystwo kąpielowe dowie się o tem zajściu?... będę ośmieszona... Tak! przypominam sobie nawet, że czytałam w gazecie ostrzeżenie... (*bierze ze stołu gazetę i czyta*). O: „Przeciwko sukniom z trenami. Tutejszy zarząd zdrojowy zawiadamia szanowną publiczność, że ukazywanie się w powłóczystych strojach jest bezwarunkowo wzbronionem. Osoby, przestępujące ten zakaz, przypiszą sobie same... „Więc on miał rację!... miał najzupełniejszą rację!!...“

SCENA 5.

ADELA — KARSKI (*wchodzi*).

K. (*który słyszał ostatnie słowa, wchodząc*). Byłem tego pewny, że prędzej czy później przyzna mi pani słusność!..

A. (*zakłopotana*). Panie doktorze...

K. Karski, do usług.

A. JAKTO?... Pańskie nazwisko jest...?

K. Karski! Sama je pani położyła w adresie listu

A. List był istotnie do dr. Karskiego, ale...

K. Starszego o lat trzydzieści? To mój stryj. Wyjechał nad morze, a ja go zastępuję w tym sezonie...

A. Więc stąd pomyłka?

K. Błogosławię ją, bo dała mi okazję przeprosić panią... (*n. s.*) Milutka!

A. Przeciwnie, to ja pana przepraszam. (*n. s.*) Bardzo przyjemny...

K. Nie, łaskawa pani, to ja winienem...

A. Pan się myli, to ja winnam...

K. Koniec końców, być może, że oboje cokolwiek zawiniliśmy, ale przecież...

A. Bez złych intencji. Niechże pan siada...

K. (*siadając*). Widzi pani, ja w listach mego stryja naczytałem się takich hymnów uwielbienia dla pani...

A. A ja myślałam, że stryj zapomniał o mnie...

K. Myśli o pani jak o własnej córce!... I gdybym mógł zdobyć sobie u pani bodaj połowę tych względów i tego zaufania...

A. Mam nadzieję, że znajdę w panu równie troskliwego lekarza...

K. Bez porównania troskliwszego!... My kawalerowie, nie mając na głowie własnej rodziny...

A. Pan nie jesteś żonaty?

K. Panią to dziwi?...?

A. Nie spodziewałam się tego... To zmienia postać rzeczy. Wobec tego nie mogę być pańską pacjentką.

K. Dlaczego?



A. Nie szukałabym za nic w świecie porady u nieżonatego lekarza...

K. Nie!?!... Doprawdy, nas, lekarzy, życie traktuje po macoszemu!... Wszędzie ten sam przesąd!... Nim zdobędziemy praktykę, niepodobna nam się ożenić, a nim się ożenimy, nie możemy zdobyć praktyki. Czyż to sprawiedliwe?!

A. Zapewne, że nie...

K. A widzi pani!... Przytem nie mówię już, że stryj mój, dowiedziawszy się, byłby niepokieszony — ale przedewszystkiem ja sam nie mógłbym sobie nigdy darować utraty tak niezwykle uroczej pacjentki... Polecam więc pani raz jeszcze całą moją wiedzę lekarską i aby mnie pani nie potrzebowała wyrzucać od siebie dwa razy jednego dnia — uciekam zawczasu. Nim jednak odejdę (*wyjmuje bukiet z wazonu na pufie i wyrzuca go oknem z prawej*).

A. Co pan robi?!...

K. Mała higieniczna usługa... Poprawiam atmosferę salonu pani, ostrzegając, że nadmierny zapach kwiatów jest niebezpieczny!...

A. Ależ ja go lubię.

K. O! i ja — pod gołem niebem.

A. Przytem to ulubione kwiaty mego nieboszczyka męża.

K. (*szybko*). Pani mąż nie żyje?!... Co za szczę... A raczej... pani wybaczy... to mi się tylko wymknęło... Proszę przyjąć wyrazy serdecznego współczucia...

A. (*śmiejąc się*). Spóźnione i zbyteczne!... Przebolałam oddawna tę stratę, która uwolniła mnie zresztą od człowieka, poślubionego wbrew mojej

woli, z cudzego wyboru... dzięki moim opiekunom, ołsnionym jego majątkiem...

K. Niechże mu wszystko Bóg wybaczy!... skoro sam opuścił skarb, którego nie był godzien... Pozwoli pani, że jej jeszcze zabiorę tę różę (*podnosi z dywanu*) i moje uszanowanie! (*wychodzi głębia*).

## SCENA 6.

ADELA (*sama*).

A. (*patrząc za nim — p. chw.*). Kto wie, czy toby nie był właśnie człowiek, z którym... Jego stryj tak się zawsze przedemną unosił nad charakterem i sercem swego synowca... Tylko że do tego wszystkiego potrzeba koniecznie miłości, a ani ja — ani on zapewne... Ja to nawet wogóle nie wiem, co to jest miłość... W małżeństwie jej nie znałam wcale, chociaż marzyłam o niej ciągle... I kto wie, czy to nie brak miłości jest przyczyną tej dręczącej pustki... Bo ja się stanowczo nie urodziłam na starą pannę ani na samotną wdowę, czuję to. Szczególniej o szarej godzinie... Chociaż i rano także... Nawet w ciągu dnia... Jednem słowem bez przerwy męczy mnie ta ciągła samotność... Ach! gdyby to...

## SCENA 7.

ADELA — KARSKI.

K. (*wchodząc*). Czy można?... To ja. Przycho-dzę tylko, aby zapytać, czy pani mnie nie ma przypadkiem za szalonego, wszystko to bowiem, co między nami dzisiaj zaszło... A bardzo by mi



było przykro, gdyby pani myślała, że ja mam bzika. Nie, pani! Słowo honoru daję, że nie! Jako lekarz, muszę się przecież znać na tem. Otóż mogę panią zapewnić fachowem słowem lekarza, że nie mam zajączków — jestem tylko (*z ręką na sercu*) bardzo... ale to bardzo... (*nagle zmieniając ton*). Nie, ja przecież mam bzika! (*ociiera fularem spointniałą twarz — siada*).

A. (*śmiejąc się*). I przychodzi mi pan to powiedzieć?

K. Tak. A właściwie — nie. Ja ośmieliłem się przyjść do pani z innym zamiarem.

A. Słucham.

K. Z zamiarem oświadczenia pani, że jej nie mogę leczyć. Pani wybaczy, ale — nie mogę. Bardzo by mi było przyjemnie, ale... proszę sobie poszukać innego lekarza... bo ja... Ten ogon... te kwiaty... stryj... pani... jej mąż... ja... No niech pani sama powie, czy ja wobec tego wszystkiego mogę być jej lekarzem?... opukiwać — osłuchiwać — badać jej puls — prosić o pokazanie języczka?... Niepodobna!... To każdy przyzna, że niepodobna!...

A. Ależ i ja panu mówiłam właśnie...

K. Że mnie pani sobie mieć lekarzem nie życzy... Ja jednak chciałem nim być — mimo tego — Ale teraz już nie chcę.

A. Więc rozchodzimy się w dniu naszego poznania...

K. Co znowu! Przeciwnie! Pragnę bywać u pani odtąd jaknajczęściej. Codziennie! dwa razy na dzień! trzy razy na dzień! — jak dziś!!

A. O! tego zabraniam stanowczo!...

K. Tak!!... Teraz pani zabrania?... Teraz!!... Kiedy już jest po wszystkim?!... Kiedy pani widzi, że ja... że we mnie... że ze mną... A to pani własna wina! Bo i cóż z tego, że wszyscy Karscy jak świat światem przepadałi za kobietami, w tem przecież nie ma nic złego!... nawet przeciwnie!... Ale dlaczego pani, pytam się, nosi takie długie treny u sukni?... czemu pani, co gorsza, ma taką śliczną, taką maluchną, dziecięcą nóżkę?!... Aha!... Czy to ja może temu winien jestem, że pani ma takie małe nóżki, na widok których człowieka mało dyabli... Przepraszam... zapomniałem się... także przez panią!

A. (*uprzejmie*). Ja pana proszę...

K. (*z siłą*). Ja — panią — proszę!

A. O co?

K. O pani rękę.

A. Pan rzeczywiście oszalał.

K. Nie pani! Ja pani to zaraz wytłomaczę. Pani potrzebuje lekarza — prawda? Proszę się nie wypierać! Wszystkie młode wdówki potrzebują lekarzy... Ale ponieważ pani ma zasadę szukać porady tylko u żonatycho...

A. Niewzruszoną zasadę!

K. Więc ja lekarzem pani być nie mogę!

A. Bezwarunkowo!

K. Ja też nie chcę!... Bo i ja mam zasadę: nie kochać się nigdy w własnych pacjentkach.

A. Jak we mnie?...

K. Jak w pani.

A. Więc pan moim lekarzem być nie może!

K. Bezwarunkowo!

A. Brawo!

K. Doskonale!

A. Zatem rozejdźmy się!



K. O nie!... Pobierzmy się!

A. Pan żartuje?

K. Bynajmniej. Wszak wówczas będzie pani mogła szukać u mnie porady, bo będę lekarzem żonatym, ja zaś będę mógł panią kochać i leczyć, bo najpierw będziesz pani moją żoną, a potem dopiero pacjentką. A pomyśl pani, co by to była za radość dla mego stryja?

A. Panu ogromnie spieszo, doktorze?

K. Lekarz kąpielowy ma tak mało czasu...

A. Twierdzy nie zdobywa się tak prędko!

K. Gdy się jest wrogiem, lecz jeśli przyjacielem i niewolnikiem, oddanym bez granic, bramy twierdzy mogłyby z całą ufnością stanąć otworem *(dzwonek rozbrzmiewa)*. Zamykać bramy!...

A. *(ku lewej)*. Marysiu! powiedz, że jestem chwilowo zajęta...

K. Pani jest zajęta.

A. Albo, że mnie nie ma w domu.

K. Tak, tak — nie ma nas w domu.

A. Albo najlepiej, że jestem cierpiącą i proszę: jutro...

K. Wybornie! Prosimy jutro! Jutro dla innych — dzisiaj dla nas! *(podając jej rękę)*. Zgadza się pani na to?...

A. Jeszcze pan nie zdążył zasłużyć...

K. Zasłużę! z pewnością zasłużę!... — byle mi pani nie kazała czekać zbyt długo na ujrzenie się w sukni z trenem choćby najdłuższym — ale z białego atlasu.

*(Kurtyna)*.

## W GODZINĘ ROZSTANIA.

Komedyjka w 1 akcie — z niemieckiego przetł.

Z. Niedźwiecki.

OSOBY:

GUSTAW — HELENA, jego żona.

*Rzecz dzieje się w wielkiem mieście, w naszych czasach.*

*(Jasno oświetlona chambre séparée. Drzwi w głębi i z lewej. Na lewo w głębi pianino. W głębi z prawej stojące wieszadło między dwoma fotelami. Na froncie z lewej lustro stojące — z prawej kominek. Z lewej otomana i fotel; z prawej stół nakryty i dwa fotele — na stole szampan, zimne dania. — Godzina 8 wieczór — zima)*.

SCENA 1.

GUSTAW *(sam)*.

G. *(przy drzwiach w głębi, po za nie jakby do kelnera)*. Więc wiesz już, co masz zrobić?... Skoro ta dama przyjdzie — zapukaj. Jeśli cię później będę potrzebował — zadzwonię! *(zamyka drzwi)*. A teraz rozejrzyjmy się nieco... *(przy stole)*. Bar-



dzo ładnie—jest wszystko, jak kazałem (*porządkuje nieco — nalawszy kieliszek szampana, patrzy do światła i wypija*). Wyborny!... (*pogwizduje, pauza, patrzy na zegarek*). Ósma!... Najwyższy czas! (*pukanie*). Otóż i ona! (*idzie ku lewej*).  
(*Helena wchodzi głębią zawołowana i staje*).

SCENA 2.

GUSTAW — HELENA (*wchodzi*).

G. (*spiesząc ku niej*). O!... Posiadasz więc dotąd cnotę punktualności!... (*ściska jej rękę*). Rozbierz się, proszę... Jakże się miewasz?...

H. (*wzbrania się — w milczeniu*).

G. (*trochę zdziwiony*). Nie chcesz zrzucić okrycia? Czemuż ta gęsta woalka?... (*chce ją zdjąć*).

H. (*jak wyżej*).

G. Co tobie?... Czy się o co gniewasz?... Sama przecież żądałaś odemnie tego spotkania, na które zgodziłem się natychmiast, chociaż przychodzą mi teraz skrupuły...

H. I słuszne skrupuły!... (*zdejmuje woalkę*).

G. (*ostłupiały*). Heła?!... Tu?!...

H. Tak. Zamiast kochanki — żona! (*pauza*).  
Czy nie byłbyś łaskaw mi pomódz?

G. (*spiesząc*). Chcesz zostać tutaj?...

H. Tak jest.— Weź to. (*podaje mu kapelusz i okrycie, które on zanosí na fotel w głębi z prawej*). H. *idąc do stołu z prawej*). Dwa nakrycia!... Same zimne dania!... Więc to dlatego takie zimne przyjęcie!... Zbliź się, usiądźmy... Będzie ci jeszcze gorąco... (*siada przy stole z prawej*).

G. (*siadając naprzeciw — z wahaniem*). I ja tak myślę....

H. Lecz chciałabym się nasamprzód czego napić... Nalej mi... (*G. nalewa z wahaniem*). Ależ to szampan!... Co za zbytek?!... W domu pijemy tylko piwo!... (*pije*). Jakież to wyborne!... Musiałeś oczekiwać nielada gościa!... Chciałeś zapewne uraczyć jakąś wpływową osobistość, z którą miewasz interesa?...

G. Helenko!...

H. Tylko powoli!... Nie zaszliśmy jeszcze tak daleko. Na wywnętrzenia będzie jeszcze czas. Wpierw chciałabym coś przekąsić. Daj mi łososia—bardzo apetycznie wygląda. (*G. czyni*). Kazałeś zastawić wszystkie sezonowe przysmakil... I jak obficie!... Bułeczkę i masło — jeżeli wolno prosić...

G. Służę ci.

H. Dzięki. Proszę cię — nalej mi! (*G. czyni — ona jedząc*). A ty nic nie jesz? Straciłeś nagłe apetyt?... Nie byłoby to dla mnie zbyt pochlebne. Zjedźże choć trochę kawioru — w domu miewamy go tak rzadko. (*G. czyni — wahając*). Tak, — a teraz rozmawiajmy. Zdumiony jesteś, że mnie tu widzisz?... nieprawdaż?...

G. Spodziewam się.

H. Znalazłam dziś rano, widzisz, na twojem biurku, kiedyś poszedł, list.

G. Ach — ten list! I przeczytałaś go?

H. Tak jest! Dowiedziałam się z niego z przyjemnością, że nie potrzebuję na ciebie z obiadem czekać — a następnie, że masz się tu spotkać — bądźmy otwarci — z jakąś kobietą. Czy tak?

G. Tak jest.

H. Bardzo to ładnie z twojej strony, że nie próbujesz się zapierać. Ta kobieta — to zape-





wne twoja przyjaciółka? Jak widzisz, pragnę ci ułatwić wyznanie — zatem: szczerze!

G. Wiesz przecie wszystko — nie wiele więcej mam ci do powiedzenia. Osoba ta, z którą dawniej, o! na długo przed naszym ślubem!... — łączyły mnie bliższe stosunki, prosiła mnie o ostatnie spotkanie; miała mnie zapytać w pewnej kwestyi o radę, poczem mieliśmy się rozejść na zawsze. Oto wszystko. Z takiego to powodu tu jestem.

H. No, no... na zawsze? Więc miała to być — kolacyjka pożegnalna?... Czy tak?

G. Oczywiście.

H. Tymczasem tak się złożyło, że zamiast z nią, zjesz taką kolacyjkę ze mną.

G. Co przez to chcesz powiedzieć?

H. Dowiesz się niebawem. Wpierw jednak kilka pytań... Co zamýślasz uczynić, jeżeli osoba, na którą czekasz, przyjdzie?...

G. Nim wejdzie tutaj — zapuka. Wówczas wyjdę do niej i powiem, że jej przyjąć nie mogę.

H. Dobrze. To bardzo ładnie z twojej strony. Będziemy więc mogli czas jakiś bez przeszkody porozmawiać oboje, co dla młodego małżeństwa ma zawsze swój urok — nieprawdaż?

G. Bezwarunkowo.

H. Jej imię: Irma?... Wszak prawda?... Tak przynajmniej opiewał list?...

G. (*zakłopotany*). W istocie, to jej imię... jednakże...

H. To nie należy do rzeczy — chcesz zapewne powiedzieć. To też ja tak tylko się zapytałam. Miałaś nadzieję dobrze się z nią bawić... co?

G. Owszem, nie żałuję bynajmniej, że to spotkanie nie doszło do skutku.

H. No, no!... W każdym razie niełatwo mi

przyjdzie godnie ją zastąpić, bo żyjąc z sobą już całe dwa miesiące, mieliśmy dosyć czasu powiedzieć sobie wszystko i tęsknisz już zapewne za inną rozrywką, za czemś odmiennem?...

G. Doprawdy — zdumiony jestem, z jakim ty te rzeczy spokojem traktujesz!...

H. Mamże je brać tragicznie?... Dopierożbyś się śmiał ze mnie!... Owszem!.., w ten sposób daleko łatwiej przyjdzie nam porozumieć się. Znalazłszy rano ów list — dałam się w pierwszej chwili ogarnąć... pewnego rodzaju wzruszeniu... Zastanowiwszy się jednak nieco, powzięłam myśl bardzo szczęśliwą, mianowicie — aby się z tobą rozwieść (*wstaje i przechodzi przed nim na lewo*).

G. (*zrywając się z przestrawem*). Co mówisz?!

H. (*spokojnie*). A cóż ty myślałeś?... Nie możesz przecie wymagać odemnie, ażebym dalej pędziła życie u boku męża, który nie był w stanie zerwać swoich dawniejszych stosunków — nawet po ożenieniu się! Czy myślisz, że byłabym w stanie dzielić się tobą z jakąś — inną? (*idzie w tył ku pianinu*).

G. Z jednego zdumienia przechodzę w drugie!... Widziałem w tobie dotąd zawsze pełną taktu, pełną skromności kobietę — naraz zaczynasz przedemną poruszać rzeczy niezmiernie drażliwe z taką swobodą, że doprawdy... Pokazuje się, że ja cię dotychczas wcale nie znałem!...

H. Przeciwnie!.. Ale dzisiejsze odkrycie, zabijając we mnie dotychczasową ufność moją dla ciebie, zbudziło we mnie poczucie mych praw i samodzielności. Ono to dało mi po bólu, jakiego doznałem w pierwszej chwili, siłę mówienia o tem bez ogródek i powzięcia stanowczego kroku.

G. Helu? ty tego nie uczynisz!... Mówiłem ci



przecież, że miało to być ostatnie spotkanie, że na nie przyszedłem z przymusem. Przysięgam ci nawet, że ta osoba nic a nic mnie nie obchodzi i że nigdy już więcej nie byłbym się z nią spotkał!

H. I tobie się zdaje, że ja ci uwierzę?... Nie!.. Kontynuując za memi plecami ten stosunek, sam we mnie zabiłeś wiarę w stałość twych uczuć, w twoją wierność. Dlatego nie pozostaje nam nic innego — jak tylko rozejść się.

G. Jeżeliby to postanowienie twoje było niezłomne — musiałbym przypuścić wówczas, że nie kochałaś mnie nigdy.

H. (*z ironią*). Za to: ty mnie — prawda?!... Nie! dajmy temu pokój. Dużo mnie kosztowało przyjście tutaj — naraziłam się bowiem na to, że może mnie ktoś wziąć za twoją — kochankę... Chciałam cię jednak schwytać — jak to mówią — na gorącym uczynku... O! nie znaczy to, aby koniecznie sam na sam z ową osobą!.. — a potem aby odrazu omówić z tobą kroki rozwodowe.

G. Ciekaw jestem, jak ty to sobie wyobrażasz?

H. W bardzo prosty sposób. (*idzie na środek*). Po spożyciu tej naszej pożegnalnej kolacyjki ja wrócę stąd prosto do domu mamy, poczem rozpocznijmy starania o rozwód.

G. Kto to: my?

H. No: ja i ty. Byłam już po drodze radzić się adwokata.

G. I to już zrobiłaś?

H. Oczywiście. Chciałam sobie zdać jasno sprawę z sytuacji.

G. Cóż adwokat powiedział?

H. Że najkrótszą drogą do uzyskania rozwodu jest obustronne żądanie tegoż ze strony małżon-

ków z powodu nieprzewyciężonej wzajemnej antypaty.

G. A jeśli ja takiego oświadczenia nie złożę?..

H. Trudno coś podobnego przypuścić. Powinieneś przecie być kontent, pozbywając się mnie w tak łatwy sposób. Wówczas będziesz mógł bez przeszkody...

G. (*przerywając*). Nie przyjdzie do czegoś podobnego! Ja się rozwodowi sprzeciwię stanowczo. Ja nie czuję do ciebie nieprzewyciężonej antypaty (*przechodzi przed nią w prawo*).

H. To przecież wcale nie przeszkadza!.. Możesz być dla mnie tyle grzecznym i udać, że ją czujesz. Po krzywdzie, jaką mi wyrządziłeś, tyle od ciebie wymagać chyba mogę?... Należy mi się rewanz.

G. Owszem, ale nie taki. Obowiązkiem moim jest dołożyć wszelkich starań, aby cię odwieść od twego zamiaru.

H. A to jakim prawem?.. Nie łudzisz się przecie, abyś mi imponował w dalszym ciągu, jak to było dawniej.

G. Przypuśćmy!.. Ale zastanów się tylko, co powie świat!.. rodzina twoja!.. moja!..

H. Skoro się rozejdziemy dla obustronnej antypaty!.. W podobnych wypadkach nawet obcym ludziom przecie z sobą wytrzymać trudno, a cóż dopiero mężowi i żonie, skazanym na spędzenie razem znacznej części życia.

G. Któż jednak w takie motywa uwierzy?

H. Uważasz to za takie nieprawdopodobne, abyś mógł wzbudzić antypatyę?..

G. Wszystkim jednak wiadomo, żeśmy się po-  
brali z miłości.



H. Powiemy im, że się dopiero po ślubie w prawdziwej swej postaci okazałeś.

G. Jesteś bardzo łaskawa.

H. Więc chciałbyś, abym winę wzięła na siebie?...

G. Ach, nie!

H. To dosyć ładnie z twojej strony. Widzę już, że się porozumiemy w końcu. Nalej mi jeszcze szampana, proszę cię. On mi dziś bardzo potrzebny. I trąmy się na pożegnanie (*czynią*). Miałam z sobą wiele do walczenia, ale to przeszło, już mi daleko lepiej. Pierwszy raz w życiu chciałabym się upić... Mój Boże!... na ileż to rzeczy otwierają się oczy i uczucia kobiety rozczarowanej, która wyniósłszy z rodzicielskiego domu dziecięcą nieświadomość życia i wiarę w ludzi — utracą je nagle!... — odkrywając wszakże jednocześnie, że świat ma przecież swoje rozkosze, że może się podobać w upojeniu, że w upojeniu jest nawet piękny!...

G. Fantazyujesz Helenko, ale cię słucham z przyjemnością. Oczy twe błyszczą, nigdy cię taką nie widziałem. Jesteś prześliczna!...

H. (*gorzko*). Znajdujesz?... (*stając przed stołem*). To nieprawda! Gdyby istotnie tak było, nie byłbyś o mnie tak łatwo zapomniał i skrzywdził mnie tak boleśnie. Wychodząc za ciebie, czułam się taka szczęśliwa!.. Zdawało mi się, że dosięgam szczytu życia!... Ty tymczasem traktowałeś nasz związek jak coś, co każdej chwili będzie można zerwać i znów nawiązać. Tymczasem omyliłeś się — nie ty, lecz ja go zerwę i to raz na zawsze.

G. Nie, nie!!... Jesteś w tej chwili zanadto wzburzona. Gdybyś to zechciała spokojnie mnie wysłuchać...?

H. Nie, nie! Nie zadawaj sobie próżnego trudu.

Z przeszłością — basta! Bądź też taki dobry i podaj mi chusteczkę z okrycia — jest w prawej bocznej kieszonce...

G. (*idzie do okrycia*). Masz nowe okrycie! O!.. i nowy kapelusz!... Dlatego to nie mogłem cię poznać!...

H. O to mi też szło. Ale zobacz, co za elegancka robota. Mam nadzieję, że wyrównasz jeszcze rachunek za tę drobnostkę?

G. (*z jej kapeluszem i chusteczką w ręce*). No rozumie się! (*daje jej chustkę, zatrzymuje jej rękę*). Czy nie masz przypadkiem jeszcze jakiego życzenia, którebym mógł... (*chce ją pocałować w rękę*).

H. (*cofając rękę*). O, proszę! Tylko bez poufałości. Śmiać mi się chce, kiedy sobie przypomnę słowa, jakimi mnie tutaj przywitałeś... „Posiadasz więc zawsze cnotę punktualności?“ Zatem to osoba punktualna?... Zdaje się, że nie musi mieć więcej cnot?...

G. (*robi nieokreślony giest*).

H. Powinienbyś o tem przecie najlepiej wiedzieć?... Jak ci się podoba ten kapelusz?... Skoro go zamierzasz zapłacić, zobacz, jak w nim wyglądam... (*odbiera od niego kapelusz i podchodzi przed lustro wdziąć*).

G. Cudownie ci w nim!

H. W zamian za ten ostatni podarek, wybierz sobie, proszę cię, coś takiego z moich rzeczy, co byś pragnął zatrzymać...

G. (*n. s.*). Jak ona się ze mną drażni! (*gł.*) Jeżeli pozwolił, to... obraz... jeden z obrazów w salonie...

H. Który na przykład?

G. Ten co wisi nad biurkiem...

H. Mój portret?... Aby stanowił jeden z nume-



rów w galerii twych podbojów?... zanim go, z braku miejsca, na strych wynieść każesz?... O nie!... Weź lepiej brązowego amorka... Będzie to daleko odpowiedniejszy mebelek w mieszkaniu bonvivanta, potrzebującego nieustannej protekcji bożka miłości...

G. Żartuj ile chcesz — ja obstaję przy twym portrecie...

H. W miejsce oryginału — portret przynajmniej. Czy tak? To zabawne!

G. Portret posiada zalety, których oryginałowi niedostaje.

H. Czy tak pochlebiony?

G. Przeciwnie — ty jesteś daleko piękniejszą, ale portret nie posiada okrucieństwa i mściwości żywej osoby. Ach! gdyby to ta żywa osóbką zechciała być nieco wyrozumiałszą i pozwolił bodaj na jeden szczery pocałunek — porozumienie nie dałoby na siebie długo czekać.

H. Zaczynasz być wymagającym... Pójdę już (*idzie w tył*).

G. Heł! proszę cię!... Toż jesteś jeszcze bądź co bądź moją żoną!... Mam wszakże jeszcze pewne prawa...

H. Zadnych!... Utracicieś wszystkie. Mnie tylko przysługiwałoby prawo łaski.

G. A więc korzystaj z niego i pozwól się pocałować...

H. Ale tylko raz!

G. Jeżeli nie może być inaczej...

H. I tylko w czoło...

G. Niech będzie w czoło...

H. (*zdejmuje kapelusz — G. chcą ją pocałować — pukanie*). To on!... (*przebiegając w prawo*). Gdyby nas tak widziała?!...

G. To i cóż.

H. Byłaby o ciebie zazdrosną! Czy nie wyjdiesz?...

G. Owszem na sekundę (*wychodzi i wraca natychmiast z listem*). Przyniesiono list do mnie. Pozwolisz, że rzucę okiem?... (*czytając, przybiera wesołą minę*).

H. I cóż?... Twarz twoja promienieje radością!..

G. Pisze mi, że nie przyjdzie... To od niej.

H. I to cię tak ucieszyło?... Cóż pisze?... — chociaż nic cię już nie obowiązuje wtajemniczać mnie w treść listu...

G. Ależ i owszem! Posłuchaj: — „Niestety! nie mogę się stawić, ponieważ w tej chwili właśnie zajęchała przedemnie karetta barona W., który przyrzekł mi się na dziś jeszcze w zeszłym tygodniu, o czym zupełnie zapomniałam. Proszę jednak pamiętać o mej prośbie, bo do niej niebawem wrócę“.

H. (*wybuchając śmiechem*). Zostałeś wyparty przez szczęśliwszego rywala! (*j. w.*) To wyborne! (*j. w.*) To niestychane!...

G. Widziałaś przecie sama, że byłem tem ucieszony...

H. I po to ta cała parada?!... Stół nakryty, szampan! ty we fraku!... Co za szkoda?!...

G. Helenko, mnie się zdaje, że ty sobie kpisz ze mnie...

H. Czyż nie miałabym do tego dosyć powodów? Mogę cię żałować? Sytuacja jest tak komiczna!...

G. Jest ona raczej dowodem mojej daleko większej, niż myślałaś, niewinności.

H. Zapewne... Spróbuję się tem pocieszyć, o ile to będzie w mej mocy. Z nią bawiłbyś się, co pra-



wda niezawodnie daleko lepiej — ale ponieważ ni stąd ni zowąd zjawia się pomiędzy wami ten baron — musisz się więc kontentować, od biedy, własną żoną. Znasz tego barona?

G. Nie znam.

H. Widocznie junak co się nazywa, skoro go przeniesiono nad ciebie!...

G. Albo po prostu bogatszy i rozrzutny.

H. Sądząc z niniejszej zastawy, osoba ta posiada widać nader kosztowny i dobry apetyt. Po zimnych daniach byłyby naturalnie nastąpiły gorące?...

G. Oczywiście. Gdybyś ich tylko zażądała...

H. Och! ja nie jestem tak wymagająca!... Mnie wystarczyła jedna bułeczka i już jestem syta. Powiedz mi też, — o czym bylibyście rozmawiali — oboje?... Czy może takie damy mówią niewiele — a wolą natomiast jak najwięcej zjeść?

G. Nie zajmujmy się tak szczegółowo tym tematem...

H. Dlaczego?... Skoro mi przypadła rola zastępczyni osoby, która ugaszcza w tej chwili barona, niechże się dowiem, co mi należy czynić, by godnie odpowiedzieć zadaniu. Czy ona muzykalna?.. (*idzie do pianina z lewej*).

G. Śpiewa cokolwiek (*przechodzi w prawo*).

H. Cokolwiek?... Tyle to i ja może potrafię... Chcesz, to zaśpiewam jaką piosenkę?...

G. Proszę bardzo!... Masz taki miłutki głosik!..

H. Albo nie... Zapomniałam, że jestem w gabinecie restauracyjnym... Chętnie byłabym ci zaśpiewała w domu — lecz skoro się rozchodzimy...

G. To pozwól przynajmniej, niech ucałuję te śliczne usteczka... (*podchodzi ku niej*).

H. (*zasłaniając się*). Tylko proszę!...

G. Należy mi się przecież całus, na który sama zgodziłaś się przed chwilą. Ja proszę o zrealizowanie umówionego całusa!

H. To był całus terminowy — jak pociągi na kolejkach żelaznych. Termin minął — to i po całusie.

G. Jesteś okrutną!... Ale, ale, wiesz?... Raz cię tylko miałem sposobność słyszeć śpiewającą...

H. Kiedy?

G. Na imieninach twej mamy... jeszcze przed naszym ślubem... Ale jednej z obcych dam — aptekarzowej — zrobiło się słabo, twoja mama do mnie, żebym skąd wytrzasnął doktora, pobiegłem, ty nie śpiewałaś wcale, a co do aptekarzowej, to się okazało, że baba była poprostu zanadto sznurówką ściśnięta... Pamiętasz?...

H. (*śmiejąc się*). Ach! pamiętam!.. Pomagałam przecie rozpuszczać sznurówkę.

G. Ocaliłaś zatem życie aptekarzowej.

H. Ale za to popsulałam jej cały wieczór.

G. Dlaczego?...

H. Nie mogła na sobie zapiąć po raz drugi stanika i musiała jechać do domu.

G. Ha! ha! ha! Otóż to skutki, kiedy ktoś ma talję prowincyała, a chce się wydać cienkim jak osa... Drugą znowu okazyję usłyszenia twego śpiewu miałem u doktorstwa, ale także spelzło na niczem...

H. A wiesz dlaczego?...

G. Nie można było odszukać klucza od fortepianu.

H. Ale, gdzie tam! Doktor lubi się popisywać swoim tenorem, a ponieważ ona jest o niego strasznie zazdrosna, więc umyślnie schowała klucz.

G. Biedny eskulap!... A ja po raz drugi nie



mogłem usłyszeć sopranu mojej żoneczki. Niechże więc choć dzisiaj, za trzecim razem...

H. Na rozstaniu...

G. Na jakim znowu rozstaniu?...

H. Zapomniałeś już, po co tu przyszedłem?!...

G. Ale ja tu przyszedłem nie po to!... Ja nie odmawiam mojej żoneczce prawa popastwienia się nademną — za karę — trochę... ale zanadto dużo mam wiary w jej pocziwe serduszko, aby nie być pewnym, że nadejdzie chwila, w której sama powie: — „Dosyć na dzisiaj tych żartów!... Nie znęcajmy się dłużej nad tym biednym chłopcem, który przecież nie mógł nawet pomyśleć o sprzeniewierzeniu się swej drogiej żonusi dla kogoś, co nie wart porównać się nawet z jej cieniem! — a cóż dopiero, aby ją miał zdradzić naprawdę. Przyszedł na naleganie dawnej i zapomnianej znajomej, bo sądził, że nie wypada mu postąpić inaczej, bo czuł, że tu będzie z pewnością chodzić o jakąś brzęczącą odprawę, bo nie chciał wreszcie narażać swego szczęścia na mściwość osoby... niepewnej... Zadał więc sobie gwałt — i poszedł — klnąc w duchu — na tę schadzke — ale nic więcej... ale na Boga! nic więcej!“

H. Sprytnie bronisz swej sprawy!... Znać bywałca!...

G. Heła!... nie mów tak!... Jest ktoś, co mej sprawy daleko wymowniej bronić potrafi... co jej broni w tej chwili... co ją już obronił!...

H. Któż to taki?

G. Głos twego serca!... No przyznaj się, że to wszystko były żarty?... Ze pozór winy z mej strony sprawił ci ból, ale nie pozbawił mnie przecie twej miłości, która jest mojem całym szczęściem, mojem wszystkim!... Prawda żoneczko?!...

H. *(odsuwając się, wzburzona)*. Puść mnie...

G. Spójrzyjże mi przynajmniej w oczy, niech widzę, że mi wierzysz... że czujesz, czem dla mnie jesteś!... że żałujesz, żeś tutaj przyszła...

H. O nie!

G. Więc tak stanowczo chciałaś mnie porzucić?

H. Ależ ja cię tu przyszedłem odebrać!... *(rzuca mu się na szyję)*.

G. Więc mi ufasz?...

H. Jestem tak nierozsądną, że ufam — bo cię kocham!...

G. Ty!... jedyna!... *(całuje ją)*.

H. Puść mnie...

G. Zechcesz co zjeść dzieciaku?

H. Nie tu! nie tu!... Chodźmy jak najprędzej... do domu!... *(całują się namiętnie — kurtyna)*.



## O CZWARTEJ Z RANA.

Krotochwila z francuskiego — przeł. Z. Niedźwiecki.

### OSOBY:

HENRIETTA de VALLON, młoda wdówka.

VEROIX, kupiec bławatny z Marsylii.

*Rzecz dzieje się w Paryżu.*

*(Elegancko umeblowany buduar. Z przodu na lewo kanapa, nad którą lustro, stół z lampą płonąca, obok fotel. Na prawo kominek z dwiema płonącymi lampami i okno, zasłonięte długą, opuszczoną portyera. W głębi drzwi wchodowe, z obu stron płonące kandelabry).*

### SCENA 1.

HENRIETTA (sama).

H. *(w balowej toalecie, kwiaty we włosach, śpiąc w fotelu, mówi przez sen)*: Nie, nie, mój panie!... Oddał się pan! Ludwiko!... Ludwi... *(budzi się)*. Boże!... Co za sen!... Więc spałam?... Tak jest, przypominam już sobie... Po pożegnaniu moich gości uczułam się tak strasznie znużoną, że rzuciłam się na ten fotel i zanim zdążyłam przywołać Ludwikę — usnęłam. *(wstaje)*. Muszę na nią zadzwonić... *(spojrzawszy na zegar, stojący na kominku)*. Czwarta godzina? To niemożliwe!... Czwarta godzina!... a bal mój skończył się po pierwszej!... Przespałam więc tutaj prawie całe trzy godziny; gdyby nie ten ohydny sen!... To nie do uwierzenia doprawdy!... Śni mi się pan Berteux,

mój sąsiad z przeciwka, któremu odmówiłam mojej ręki, a który mi jeszcze wczoraj groził listownie, że mnie musi za jakąkolwiek cenę skompromitować, aby nie dopuścić w ten sposób do mego małżeństwa z Ryszardem. Ten nieznośny natręt obserwuje mnie w dzień i w nocy, krok w krok za mną chodzi i nawet we śnie spokoju mi nie daje. Nie potrafię doprawdy pomyśleć o tem bez irytacji. Muszę zawołać Ludwikę, niech mnie rozbierze... *(dzwoni)*. Ona tu już musiała być, biedaczka, ale zastawszy mnie śpiącą, bała się mnie budzić... Cóż to? Nie widać jej? Ani jej — ani Józefa?... Musieli widać i oni, ona u siebie, on w przedpokoju, pozasypiać, jak ja tutaj przed chwilą. Zbudzę ich, niech się kładą spać. *(Wziąwszy ze stołu świecę, wychodzi w głąb)*.

### SCENA 2.

VEROIX (sam).

*(Po odejściu Henrietty, po za portyera daje się słyszeć silne chrapanie — po chwili zaś głos Veroix)*: Któż tam tak chrapie?... *(Rozsuwa portyere, po za którą widać go rozwalonego w krzesle bigunowem, w framudze okna)*: Co?... Prócz mnie nie ma nikogo?... Więc to chyba ja sam tak chrapać musiałem!... Poznaje po tem samego siebie... Mam taki hałaśliwy sposób spania, że często sam siebie budzę własnem chrapaniem... *(idzie na front)*. Prawdę powiedziawszy, potrzebna mi była ta chwila spoczynku. Dopiero wczoraj popołudniu wyjechałem z Marsylii. Będę to sam sobie opowiadał?... Dlaczego nie!... Tamci wszyscy rozrywają się tańcem i grą w karty, dlaczego i ja się nie mam troszeczkę, wedle możliwości, zabawić?... Otóż tedy



wczoraj popołudniu wyjechałem do Paryża z Marsylii — ja już mam taki zwyczaj, że sobie zawsze na drugi dzień opowiadam, co poprzedniego robiłem — otóż wczoraj popołudniu wyjechawszy z Marsylii, po bezsennej nocy spędzonej w wagonie, przybyłem kompletnie roztrzęsiony do Paryża. Każę się zawieźć do mego siostrzeńca bulwar St. Jean nr. 24 — gdzie mi ku memu największemu zmartwieniu powiadają, że właśnie na całe dwie doby wyjechał. Siedząc wieczorem sam jeden jak palec przy kolacyi, właśnie zabieram się do deseru i zjadłem już jedną śliwkę — nie, daktyl podobno?... gdzieżtam! śliwkę!... napewno śliwkę — gdy wtem wchodzi mój stary przyjaciel Tardieu z zapytaniem, czy nie zechciałbym przepędzić tego wieczoru z nim razem?... „I owszem, mój zuchu!“ — odpowiadam. „W takim razie — on na to — włącz we frak i w lakierki i chodź, zaprowadzę cię na bal“. Zwróciłem mu uwagę, że nie przyjechałem do Paryża po to, aby się włóczyć po balach, uparł się jednak przy swoim, zapewniając mnie, że zastanę na owym balu dwóch radców z ministerjum sprawiedliwości, wie bowiem, że chętniebym z tymi panami o pewnej kwestyi pomówił. To mnie zdecydowało. Przyjąłem jego propozycję i dałem mu się około godziny 11-ej w nocy zawieźć tutaj, gdzie mnie przedstawił pani domu, niejakiej pani de Vallon, młodej, ślicznej wdówce, której do dziś dnia nie znałem wcale. Sam będąc również wdowcem, nie mogę ukrywać, że wdówki bardzo lubię. Uważam to za dowód wyższości nad resztą śmiertelników, jeżeli ktoś w pojedynku na życie lub śmierć, za jakie nie bez słuszności małżeństwo zazwyczaj podawanem bywa, odniósł zwycięstwo i został pa-

nem placu. Zaraz po prezentacji zaczęliśmy się przeciskać przez tłum, aby dotrzeć do naszych dwóch radców ministerjalnych. Otrzymałem przy tej okazji z różnych stron pewną ilość kułaków, wymierzyłem ich mniej więcej tyleż nawzajem, i osiągnąwszy wreszcie po całym kwadransie tego kułakowania nieznaczną nadwyżkę — słyszę głos przyjaciela Tardieu: „Czatuj że ty sobie na swoich radców, a ja tymczasem pójdę zagrać w ecarté. Staraj się także zabawić panią domu“. Powiedziałem mu na to: „dobrze“ — nie uczyniłem tego jednak, z dwóch powodów: najpierw nie lubię paplać z kobietami, bo mi to zaraz przypomina moją nieboszczkę, która, niech jej tam Bóg przebaczy, młynkowała językiem za trzy; — powtóre, spędziwszy poprzednią noc w wagonie, byłem strasznie zmęczony. Wsuwam się tedy niepostrzeżenie po za tę portjerę, padam z rozkoszą na fotel i urządzam sobie przez jakieś dwadzieścia minut pyszną drzemkę. Czy tylko moi radcy nie wynieśli się tymczasem?... Pójdę ich poszukać — wpraw jednak nałożmy rękawiczki, poprawmy krawat... (*idzie do lustra*).

## SCENA 3.

VEROIX — HENRIETTA.

H. (*wchodząc*). Ani Ludwiki, ani Józefa. Zdaje się, że moja służba nie czekała wcale, aż jej pozwolę iść spać (*spostrzegłszy Veroix*). Jakiś mężczyzna?... Któż to?

V. (*n. s.*). Pani domu...

H. Kto pan jesteś, mój panie?...

V. Veroix, August Veroix — (*uprzejmie, stawiając lampę, którą trzymał w ręku*). Pani będzie



łaskawa sobie przypomnieć, że zostałem jej dziesiętym wieczora przedstawiony przez pana Tardieu, pamięta pani przecie?... Tardieu... ten z takim długim nosem... Ja mam wprawdzie także dosyć długi nos, ale nos mego przyjaciela Tardieu jest znacznie dłuższy...

H. Tak, przypominam sobie teraz... Ale czy wolno mi zapytać, co pan tu robi?

V. Wszedłem tutaj na chwilę dla zaczerpnięcia powietrza, bo w salonie z gorąca uduścyby się można. Wracam tam jednak natychmiast...

H. W jakim celu?

V. W tym samym co wszyscy — aby tańczyć!... Sądziłażbyś pani, że ja już nie tańczę?...!

H. Chcesz pan tańczyć... ależ z kim?

V. (*n. s.*). Złapała mnie... nie ma pewno dansera... (*gł.*). Naturalnie z panią, łaskawa pani, jeżeli mi pani zechce wyświadczyć ten zaszczyt...

H. Ależ panie, bal mój dawno się skończył!

V. Co?... Już?!...

H. Czwarta rano — minęła.

V. Czwarta mi...? (*spojrzawszy na swój zegarek*). Istotnie, na moim jest nawet wpół do piątej, ja zawsze wskazówkę naprzód posuwam.

H. Cóż pan tutaj całą noc robił? Gdzie pan był?...!

V. Wycofałem się na chwilę z zgiełku... po za tę zasłonę...

H. Domyślam się już... spałeś pan!

V. (*z urazą*). Cóż znowu!...

H. Jestem tego pewna!

V. (*innym tonem*). Prawdopodobnie spałem.

H. Tymczasem wszyscy goście opuścili dawno mój dom.

V. Co?... Mój przyjaciel Tardieu, ten z długim nosem? i obaj radcy ministerjalni — także?..

H. Prócz pana niema tu w tej chwili nikogo obcego.

V. W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak również się oddalić. (*z ukłonem*). Pozwól się pani zapewnić, że... i wybaczyć proszę... (*bierze cylinder z po za portjery*).

H. Wstrzymaj się pan, — drzwi mego mieszkania są zamknięte, służący mieszka na czwartym piętrze.

V. Zbudzimy go.

H. A portjer, który jest przekonany, że tu już niema nikogo?

V. Zbudzimy go także.

H. To niemożliwe, pod żadnym warunkiem!

V. Ależ pani, portjerzy są przecież, na Boga, od tego, żeby ich budzić, dam mu zresztą gruby napiwek, będę go tytułował zarządcą — ja wiem, jak się z ludźmi obchodzić.

H. Niepodobna, mój panie! Cóżby w całym domu powiedziano, gdyby pana ktokolwiek widział wychodzącym stąd w trzy godziny później niżeli reszta gości?

V. Wybaczy pani, lecz trudno mi przypuścić, aby mnie pani u siebie zatrzymać chciała?

H. Mój panie!

V. Zatem proszę posłuchać: Aby dom jakiś opuścić, trzeba koniecznie drzwi przekroczyć.

H. (*z wahaniem*). Albo — okno — (*wskazuje*).

V. Ba, jeżeli się mieszka na parterze — ale gdy ktoś, jak pani, zajmuje drugie piętro — wówczas, daruje pani...

H. Mój panie, sądzę, że pan jesteś człowiekiem na swojego miejcsu...?



V. Ja?... Bynajmniej. Ja jestem kupcem bławnym.

H. I że nie uczynisz pan przyzwoitej kobiety ofiarą sytuacji, którą pan sam wywołałeś...

V. Ja? A to jak?

H. Ponieważ pan zasnąłeś tutaj.

V. To prawda, tej winy zaprzec się nie mogę.

H. Nie odrzucaj pan przeto mej drobnej prośby — (*wskazuje na okno*). Sprobuj pan przynajmniej...

V. Wyjść przez okno?... Wybacz pani, ale istnieją propozycje, których nie godzi się doprawdy czynić kupcowi bławnemu, zbliżającemu się do piątego krzyżyka, który właściwie już sześćdziesiątkę zaczął.

H. (*blagalnie*): Mógłbyś się pan spuścić po rynnice... Uwiążemy mocny sznur. Zaklinam pana, idzie tu o mój honor, pan przecie winien jesteś wszystkiemu...

V. (*wahająco*). Mój Boże... gdybyś to pani mieszkała chociaż na parterze... wówczas z całą przyjemnością zadość uczyniłbym jej życzeniu — ale tak...

H. (*ujmując go za rękę*). Chodź pan... Noc jest ciemna... Nikt pana nie spostrzeże...

V. Gdybyś pani chociaż kazała na dole rozłożyć kilka materaców... jakiś piernacik...

H. Nie! nie!... Chodź pan!... Zaklinam pana!... (*zbliża się do okna — H., podnosi roletę, ale opuszcza ją copredzej z okrzykiem, ujrawszy vis-à-vis oświetlone okno*). Ach!... ukryj się pan!..

V. (*szgina się copredzej*). Co się stało?... Czy może na dole stoi kto z nabitym pistoletem?...

H. Nie, ale w oknie naprzeciwko świeci się.

V. Więc i tam jeszcze nie śpią.

H. Szpiegują mnie, podsłuchują...

V. Kto taki?

H. Pewien jegomość, który poprzysiągł mi zgubę. Nie powinien pana tutaj zobaczyć!

V. Tem lepiej, nie będę potrzebował wędrować przez okno. (*siada na kanapie z lewej*).

H. (*po chw.*). Ach! jesteśmy ocaleni!

V. Doprawdy?

H. Dochodzi wpół do piątej.

V. (*patrzac na swój zegarek*). U mnie: piąta.

H. Zostań pan tu do rana.

V. (*niespokojnie*). Do rana?... (*wstaje*).

V. Naturalnie! Moja służba wstaje dopiero pół do ósmej, skoro portjer otworzy bramę, wymkniesz się pan niepostrzeżony.

V. To niemożliwe, pani.

H. Panie! Zaklinam pana na moją przyszłość!... Abyś pan zaś wiedział wszystko: mam wyjść powtórnie za mąż, za człowieka, którego kocham... Zostań pan zatem! nie bądź nieczułym na moje łzy i błagania (*placze*) i nie przekraczaj tego progu przed świtem, jeżeli nie chcesz być niszczycielem mego szczęścia, jeżeli nie chcesz mej dobrej sławy narazić...

V. Dobrej sławy?... Pozwól pani, ale i mnie także idzie o moją opinię...

H. (*z uśmiechem*). Opinia mężczyzny!

V. Nie wszyscy mężczyźni są jednacy. Co do mnie — jak mnie tu pani przed sobą widzi, dożyłem pięćdziesiątego piątego roku życia, nie przepędziwszy za domem ani jednej nocy!

H. (*śmiejąc się*). Doprawdy?

V. A jeżeli dziś po raz pierwszy do domu nie wróce, co sobie o mnie pomyśli mój służący!...

H. Prawdę! Pomyśli, że pan byłeś na balu.

V. Tak pani sądzi?



H. Jestem tego pewna (*odbiera mu delikatnie kapelusz*). No, nie odmawiaj pan mej prośbie (*wskazując fotel przy kominku*). Usiądź pan sobie tam, jak u siebie w domu i pomyśl pan, że cała wina tutaj po pańskiej leży stroniem! Po co było zasypiać...

V. (*siadając*). Łatwo to mówić, łaskawa pani. Ale gdybyś pani tak jak ja noc całą spędziła w wagonie, z towarzyszem podróży, chorym na influencę, który od ciągłego kaszlu ledwo dyszał...

H. Rozniecę ogień, żeby ciepłej było.

V. Ach nie trudź się pani...

H. Drzewo jest tutaj...

V. (*siadając przed kominkiem, gdzie roznieca ogień*). Muszę pani wyznać, że żałuję teraz bardzo przybycia na bal pani.

H. O wpół do ósmej będziesz pan wolny, te parę godzin prędko zlecą.

V. Zapewne, zapewne... Co prawda dwadzieścia pięć lat temu i jabym również może znajdował, że półtrzeciej godziny to jest dość mało, nawet bardzo mało, gdyby... naturalnie... Ale dzisiaj w moim wieku!... Dziś wolałbym moje łóżko... (*ziewa*).

H. (*przynosi poduszkę z kanapy*). Oprzyj pan sobie głowę na tej poduszce... (*przynosząc taburecik*). A tutaj — stołeczek pod nogi.

V. Jesteś pani zbyt dobrą. Żeby mi tylko nie było tak zimno...

H. (*zdejmując ze stołu w głębi grubą serwetę*). Oto przykrycie. Owiń się pan w to dobrze.

V. Serdeczne dzięki... Jesteś pani uosobioną dobrocią w rzeczy samej... (*odziewa się — ziewa*). W gruncie rzeczy to już wszystko jedno — ale przecież nie mogę odżałować, że się dał zaciągnąć na ten bal do pani...

H. I ja również żałuję ogromnie.

V. Mój Boże, i w końcu trzeba było nieszczęścia... (*zamyka oczy — odwraca się*).

H. Może pana światło razi?... (*skreca płomienie lamp na kominku*). Tak będzie lepiej — nieprawdaz?...

V. Istotnie, tak będzie lepiej...

H. (*idzie w tył, gdzie zdejmuje swe biżuterje, pauza*). Czy pan już dawno nie byłeś w Paryżu?

V. (*leżąc wygodnie, z zamkniętymi oczyma*). Dawno.

H. (*p. chw.*). Lubisz pan nasze miasto?

V. Nie.

H. (*p. chw.*). Pan mieszka stale na prowincji?

V. (*odwraca się, otwierając oczy*). Wybac mi pani, czy dużo pani na tem zależy, aby prowadzić ze mną tę rozmowę?

H. Ależ nie — staram się ją tylko podtrzymać dla pańskiej przyjemności, aby pana rozerwać...

V. W takim razie proszę panią, zaniechaj pani swojej, nie przeczę, pełnej dowcipu gawędki. Umieram ze znużenia i miałbym ochotę się przespać.

H. Ależ i owszem.

V. Pani również niech się wcale nie żenuje, zostaw mnie pani samego i bez ceremonji połóż się do łóżka.

H. Ależ panie!...

V. Nie potrzebujesz się pani niczego lękać! Zamknij się pani zresztą, zasunij rygiel u drzwi, ja śpię... (*zamyka oczy*). Dobranoc pani!

H. Dobranoc. (*pauza — patrzy nań*). Nie ma rzeczywiście nic lepszego do zrobienia, jak pozwolić mu się przespać. (*przed lustrem z lewej wyciąga szpilki z włosów i próbuje daremnie wyplątać z nich kwiaty*). Czy ja tych kwiatów nie powijmuję dzisiaj?...



V. (*półgłosem*). To ciągle kręcenie się... Że też tym kobietom tak trudno uspokoić się bodaj na chwilę... (*odwracając się*). Może pani pomódz?

H. Ach, nie deranżuj się pan wcale. Dam sobie sama rady, ale moja pokojówka powpinała mi tyle szpilek we włosy...

V. (*wstaje, pomaga jej*). Wiem, wiem!... Są kobiety, które mają więcej szpilek niż włosów na głowie. Nie myślże pani jednak, aby to była aluzja do pani. Tak!... (*wreca jej wyjęty kwiat*). Proszę panią.

H. Dziękuję panu.

V. A skoro już jestem na nogach, może sobie pani życzy, żebym jej suknię porozpinał?

H. Ależ panie!

V. (*obojętnie*). Nie? Myślałem. A zresztą: ofiaruję pani moje usługi, pani je odrzucasz — pani zatem szkoda. (*poprawiwszy poduszkę, kładzie się napowrót*).

H. (*biorąc ze stołu lampę, biżuterję, kwiaty*). Życzę więc panu dobrej nocy...

V. Dobrej nocy!... (*n.s.*). Nareszcie. (*gł.*). A nie zapomnij pani zasunąć rygla.

H. (*n.s.*). Szczególna rzecz, jakim on to tonem powiedział!... (*gł.*). Przyjdę pana o siódmej obudzić.

V. Może to ja panią raczej obudzę!

H. (*zdziwiona, n.s.*). On?... To szczególnie!... Zachowanie tego człowieka wydaje mi się coraz dziwniejszem. W całym tem zdarzeniu jest wogóle coś tak tajemniczego, że mnie zaczyna dziwny strach ogarniać... Jestem pewna, że nie zdołam zmrużyć oka... (*odchodzi*).

V. (*który już spał — zrywa się, obudzony drzewi trzaśnięciem*). No!

## SCENA 4.

V. (*sam, zły*). I to się nazywa: „bywać w świecie!...“ Żeby mi tu tylko nie przyszła znów głowy kotłować... (*przechodzi*). Najlepiej zamknę drzwi z tej strony... Macie!... Teraz znów klucza niema z tej strony... A na dobitek z moimi radcami z ministerjum wcale się nie widziałem i będę prawdopodobnie musiał do domu wrócić, nie załatwiwszy sprawy... Przybyłem mianowicie do Paryża w tym celu, — (*poufnie do publ.*). Ale niech to zostanie między nami, bo oprócz mego przyjaciela Tardieu nikt więcej o tem nie wie (*wyciągając chustkę z kieszeni i owijając sobie w nią głowę*): przybyłem do Paryża w tym celu, aby wnieść podanie do ministerjum o zezwolenie na zmianę mego nazwiska na Veroix. Nie dlatego, żeby nazwisko, pozostawione mi przez mego ojca, było śmieszne, bynajmniej!... ale ma ono inny feler: nazywam się mianowicie—(*ogląda się*). Nikt nie słyszy? nazywam się: Marlequin... Nazwisko samo przez się wcale nie brzydkie, daje ono jednak złośliwcom okazję do niemiłych skrótów — opuszczają mianowicie pierwszą literę i przezywają mnie Arlequin... Przyjemnem tego przecież nazwać nie można... Przez pięćdziesiąt pięć lat wprowadzicie znośnię moje nazwisko jako tako, dłużej jednak trwać to nie może — głównie ze względu na mego bratanka, bardzo dzielnego chłopca, który zamierzając przedsięwziąć operacje finansowe na wielką skalę, sądzi, że nazwisko Marlequin, tak podobne do Arlequin, nie bardzo się do tego fachu nadaje. — Otóż napisałem do niego: „Zrzecz się swego małżeństwa a ja się zrzeknę mego nazwiska!“ — zamierzał się bowiem ożenić. Zakazałem mu natu-



ralnie wspominać o tem. Paryżanka — w mojej rodzinie! Nigdy! Tylko na prowincji można dziś znaleźć wierną żonę, a i tam jest to od czasu rozgależenia kolei żelaznych coraz trudniejszem. Namnożyło się tyle bocznych linii!... (*wurócił tymczasem na fotel i poczyną zasypiać*) tyle skrzyżowań!... (*mała pauza—otwiera oczy i kładzie rękę na łożadku*). Do dyabła! — co to jest?... Boleści?... (*wstaje*). Gdybym tak nagle zachorował, tu, w obcym domu, gdybym musiał po doktora posłać i skompromitował przez to panią domu, ładnaby była historia! Nie, nie, zrozumiałem dopiero teraz: to głód! Podczas kiedy goście inni goście plądrowali bufet, ja tymczasem spałem — tak, tak — nie jestem chory, tylko potrzebuję maleńkiego okładu z zajęczego pasztetu (*biorąc lampę z kominka*). Muszę zobaczyć, czy nie dałoby się w jadalni zawrzeć bliższej znajomości z jakimś kapłanem, przeniesionym w stan spoczynku, albo z jaką osadzoną na koszu marynatą. Przypominam sobie także, że miałem przyjemność widzieć tutaj pewną ilość butelek z nienajgorszej rodziny, którym mnie nie przedstawiono wcale. Może gdzie nawet i jakaś butelczyna szampańskiego drzemie sobie zapomniana w złoconej szlafmycy — trzeba ją zbudzić! (*wychodzi na palcach*).

## SCENA 5.

H. (*sama—otwiera po cichu drzwi i idąc za Veroix oczyma — z niepokojem*). Dokąd on idzie? Jest w tem wszystkim coś bardzo dziwnego. Ten pan, który przed chwilą jeszcze udawał śmiertelnie znużonego, wydaje mi się mocno podejrzanym. Udana obojętność, z jaką pomagał mi kwiaty wy-

jąc z włosów i proponował, że mi porozpina suknię, nie była naturalną. Czyżbym wpadła w pułapkę?... A jeśli to był pan Berteux, mój sąsiad z przeciwka?... Nie mówiłam z nim nigdy w życiu, znam go tylko z jego listownych oświadczeń i z tego okna, gdzie przy moim krótkim wzroku... Zdawało mi się wprawdzie, że jest młodszy — ale mógł się przebrać, ucharakteryzować?... Podczas balu zasnąć nie jest przecież tak łatwo!... Miałaby to w rzeczy samej być ten nieznośny człowiek?... Dreszcz mnie przechodzi na samą myśl — ale spokoju — spokoju i rozważ!... To on!...

## SCENA 6.

HENRIETTA — VEROIX (*wchodzi*).H. (*kryje się za portjera*).

V. Znalazłem młodą gąskę, którą zdawała się bardzo nudzić samotność.

H. (*n. s.*). Zabiera się do jedzenia.

V. Trzeba koniecznie pokrzepić siły...

H. (*n. s.*). Co on mówi?V. (*stawiając lampę na kominku*). Masz! o mało mi peruka nie spadła.H. (*n. s.*). Peruka!... Więc nie myliłam się! (*idzie w tył*).V. (*poprawiając przed lustrem perukę*). Szczęście, że to nie w obecności pięknej wdówki... Śpi sobie zapewne w najlepsze w tej chwili.H. (*n. s.*). Co tu czynić?... Ach! Tylko zimnej krwi! (*podchodzi do stołu i porządkuje na nim zastawę*).V. (*zobaczywszy ją w lustrze, odwraca się przerażony*). Co?... Pani tutaj?... Byłem najpewniejszy, że pani śpi oddawna...



H. A pan! mój panie?!...

V. (*zakłopot.*). Zapewne, zapewne... Ale głód — sposobność — gąska — przyniosę jeszcze jedno nakrycie...

H. (*żywo*). To zbyt cenne, dziękuję — nie jestem głodna.

V. Jakto?... Więc ta gąska nie czyni na pani żadnego wrażenia?.. A ja na sam jej widok uczułem się głodnym jak wilk!... jak...

H. Jak młody człowiek...

V. Istotnie, jak młody człowiek...

H. Pozwól pan zatem... (*wskazuje na stół*).

V. Z przyjemnością. Ale niech i pani będzie łaskawa usiąść...

H. Bardzo chętnie. Będę panu napełniać kieliszek.

V. Bravo!... piękna Hebe... (*jedząc*). Przyznaj pani, czy to nie jest szkoda, że ja nie jestem młodszym o lat dwadzieścia pięć...

H. A to dlaczego?

V. A no — kolacyjka — szampan — sam na sam z młodą, piękną kobietą (*pije*).

H. (*n. s.*). Zaczyna się demaskować!

V. Dajmy na to, że nie mam lat pięćdziesięciu pięciu!

H. (*żywo*). Więc pan się przyznajesz?...

V. Ja się do niczego nie przyznaję — przypuszczam tylko — niestety, mogę jedynie przypuszczać... — (*pije*).

H. (*n. s.*). Muszę go do tego doprowadzić, aby się zdradził. (*gł.*). Wiadomo też panu, w czym polega właściwa siła kobiety?...

V. Siła kobiety?... Nie! — U mojej żony mieściła się ona w języku.

H. (*z pewnością siebie*). Siłą kobiety jest jej pozorna słabość — która was tak rozzuchwała, że zanim się spostrzeżecie, już jesteście w pętach.

V. Co pani chce przez to powiedzieć? Nie rozumiam pani.

H. Chcesz pan przykładu?

V. Owszem, proszę. Lubię podczas jedzenia słuchać, a raczej podczas słuchania jeść.

H. Jestto zdarzenie prawdziwe, które miała jedna z moich przyjaciółek.

V. Zdaniem Goethego zajmujące opowiadanie jest w stanie zastąpić jedno danie — to, którym mnie pani obdarzyć raczy, niechaj zastąpi mi deser.

H. Przyjaciółka moja była młodą.

V. Jak pani.

H. Wdówką.

V. Jak pani.

H. I jak ja miała powtórnie wyjść za mąż... Pewnego wieczoru znajdowała się właśnie w swej willi sama jedna — gdy wtem zjawia się u niej męczyszna zupełnie przyzwoitej powierzchowności, mogący liczyć jakieś lat pięćdziesiąt cztery, pięć...

V. Jak ja...

H. Jak pan. Oświadczył mojej przyjaciółce, że jest notariuszem i zaczął z nią rozmawiać o lokacji jej majątku, o podwyższeniu dochodów i sama już nie wiem o czym, ale to z taką serdecznością, że moja przyjaciółka widziała się zmuszoną zaprosić go na obiad.

V. Obiad w towarzystwie notariusza — to musi być djabelnie nudne.

H. Moja przyjaciółka zbyt była zaniepokojoną, aby się móżdż nudzić.



V. (*zainter.*). Zaniepokojoną? Czemu?

H. (*wstaje z wolna i wpatruje się w nią*). Ponieważ z wielu oznak, z lekkości jego kroku, z blasku w oczach zaczęła poznawać, że mniemany notariusz jest przebrany młodym człowiekiem.

V. (*ubawiony*). Brawo! Domyślam się rozwiązania. Pseudostaruszek zrzucił z głowy perukę i padając przed damą na kolana — (*chce powstać*).

H. (*nie daje mu powstać, wyciągając ręce*). Nie...

V. (*spokojnie*). Nie?... Więc cóż się stało?...

H. (*z naciskiem*)... bo wino (*wskazuje na jego kieliszek*), które ona mu dała do picia, było zatrute.

V. (*podskakując*). Zatrute?

H. (*n. s.*). To on! (*gł.*). Nie, mój panie, uspokuj się pan... (*surowo*) ale czy sądzisz pan, że pańskie postępowanie wobec mnie jest postępowaniem człowieka honoru?

V. (*wzburzony*). Ależ pani... mnie się chciało jeść, zobaczyłem tę gąskę na bufecie...

H. Powiedziałam panu stanowczo, że ci nie oddam mojej ręki. Mojaż w tem wina, żem ją już wprzódy innemu przyrzekła, do którego należy moje serce? Czy to jest dostatecznym powodem, aby mnie chcieć gubić wobec świata?...

V. Ależ przysięgam pani!...

H. Pańskie przebranie na nic się nie zdało. Poznałam pana odrazu. Nie nazywasz się Veroix.

V. (*zakłopot. n. s.*). Co?... ona wie? (*gł.*). W istocie, pani... to nazwisko...

H. Zdejm pan perukę.

V. (*zdumiony*). I o tem wiesz pani także?

H. I nie mów mi pan więcej o swoich pięćdziesięciu pięciu latach, panie Berteux.

V. Co?... Berteux?... Ja?...

H. Tak jest! Zdejm pan nareszcie maskę, mój panie.

V. Łaskawa pani— tu chyba zachodzi jakaś pomyłka. Ja się nie nazywam Berteux, liczę jednak niestety rzeczywiście pięćdziesiąty piąty rok życia, mam niestety łysinę, i noszę niestety, od lat kilkunastu perukę.

H. (*zmięszana*). Jako?... czyżbym się pomyliła?

V. Według wszelkiego prawdopodobieństwa.

H. W takim razie jestem niepokieszona, że... Ale z bezgranicznej trwogi, jakiej uległam, przestałam być panią siebie, i w pomieszeniu wzięłam pana za młodego człowieka.

V. Na to potrzeba rzeczywiście nielada pomieszenia...

H. (*z wdziękiem*). Zechciej pan usiąść napowrót do stołu... proszę...

V. Dziękuję, odechciało mi się jeść...

H. (*nalewając mu ponownie szampana*). Nie miejże pan żadnej obawy... Nie jestem Lukrecją Bordzią...

V. Dziękuję, odechciało mi się pić. Historja, którą mi pani opowiedziałaś...

H. Ach! to był utwór mojej wyobraźni...

V. Wszystko jedno, ale jako deser po pieczonej gąsce zrobił mi bardzo niedobrze... Czuję się tak jakoś dziwnie... (*siada przy kominku*).

H. Mój Boże!... Panu słabo?...

V. Tak jest... Cokolwiek eteru... pomarańczowego kwiatu...

H. Gdzie mój flakonik?... Poczekaj pan, wróczę natychmiast... (*wychodzi śpiesznie do swego pokoju*).



SCENA 7.

VEROIX — (*sam*).

V. Otóż macie... Teraz się znowu rozchoruję... I to się nazywa: „bywać w świetle!” (*wstaje*). Może mi świeże powietrze jakoś lepiej zrobi. Tu się można udusić!.. Tlenul... tlenul... (*otwiera okno*): Jeszcze ciągle noc!.. Czyliż więc dzień nigdy nie nastąpi?!.. (*odskakuje od okna, spuszczaając przedko store*). Aj!... to ten facet vis-à-vis... Teraz on znów wstał... (*nastłuchując*) Co? co?!.. Powiada, że muszę mu zdać rachunek, że będziemy się bić!.. Śliczna historja!.. (*nastłuchuje*) Co?!.. „Nie chowaj się pan na darmo, znam pana, panie Marlequin“ — (*zdumiony*) Zna moje nazwisko?!.. (*stłucha*) Powiada, że dziś rano będzie u mnie! Boulevard St. Jean, 24! Zna mój adres!.. (*rzucając się ku oknu*) Ależ mój panie, pozwól pan... — (*do publ.*) Powiedział mi „Servus“ — parsknął śmiechem i okno zatrzasnął.

SCENA 8.

VEROIX — HENRIETTA (*z flakonem*).

H. Oto jestem... Co widzę?... Okno otwarte?...  
 V. Wybacz pani... potrzebowałam tlenu...  
 H. (*przerazona*). Pan Berteux widział pana?  
 V. I wyzwał mnie w dodatku.  
 H. Pojedynek! Boże mój!  
 V. Ale co szczególnie — ten pan mnie zna, wymienił mój adres: Boulevard St. Jean, 24.  
 H. Co?... pan byś mieszkał...  
 V. Boulevard St. Jean 24, u mego bratanka Ryszarda.  
 H. (*n. s. z radością*). Wuj Ryszarda! Co za szczęśliwy traf!

V. Okropność!.. Obsypał mnie zniewagami!.. Chce mi głowę uciąć.

H. (*n. s.*) Biedaczysko — trzęsie się, gdy ja nie mogę śmiechu powstrzymać z radości.

V. I to nazywają „bywać w świetle!” Skąd on mnie u licha może znać?... Dwadzieścia pięć lat nie byłem w Paryżu!..

H. (*n. s.*) Pan Berteux wziął go zapewne za Ryszarda (*gł.*). To całkiem proste! Ten pan widział pana dziś u mnie, słyszał pańskie nazwisko, chce się na pana zemścić i dlatego wyzwał pana...

V. (*żywo*) Nie miej pani żadnej obawy, ja się bić nie będę, ja siebie znam. Poproszę go, żeby się na mnie nie gniewał.

H. Co?... Więc moja sława jest dla pana niczem? — dla pana, któremu będę mieć do zawdzięczenia to wszystko, co o mnie w całym Paryżu jutro mówić będą?... (*udając rozpacz*). Po co pan otwierałeś okno?

V. Zabrakło mi tlenu.

H. Cóż się teraz ze mną stanie?... (*placze*).. Teraz już po mojem małżeństwie.

V. (*n. s.*) Maciel! Zaczyna płakać!..

H. A przyszłość uśmiechała mi się takimi różowemi barwami!.. Teraz już po wszystkim! Czarna przepaść rozkwiera się u moich stóp... Jestem zgubioną! jedynym mym ratunkiem śmierć...

V. Ależ pozwól pani...

H. O, wiem, co pan zamierzasz uczynić. Szlachetny! Chcesz mi zaproponować, abym została twoją żoną.

V. (*przerazony*). Ja? — Przenigdy, pani!.. Ja sobie przysiągłem dożywotnie wdowieństwo.

H. Lecz gdybym od pana tego zażądała?



V. Niepodobna pani! — Uczyniłbym panią niewypowiedzianie nieszczęśliwą. Są chwile, w których jestem nie do zniesienia.

H. W takim razie może pan masz syna?

V. Jak dotąd, niebo oszczędziło mi tej rozkoszy, a ponieważ jestem wdowcem, więc —

H. Może pan przecie masz brata?... synowca?..

V. Synowca?... Mam!... Mam synowca!...

H. Do niego zatem należy naprawić krzywdę, jaką pan memu honorowi wyrządziłeś.

V. Prawda! on nawet ma chętkę do żeniaczki.

H. W istocie?

V. Dotąd jednak sprzeciwiałem się temu ciągle. Zresztą najlepszym sposobem przeszkodzenia mu, aby się nie ożenił z swoją ukochaną będzie — ożenić go z panią. Spłątamy mu tę psotę. —

H. Psotę?

V. (*poprawiając się*). Chciałem powiedzieć: ten żarcik... tę niespodziankę... Tak! ożeni się z panią.

H. (*n. s.*). Nareszcie... (*gł.*) A jeżeli mnie nie zechce?

V. Jeżeli pani nie zechce, wydziedziczę go! Ale dlaczego pani miał nie zechcieć... Ryszard jest młodym, eleganckim. Pani również jest młodą...

H. Mam lat dwadzieścia pięć...

V. Niebrzydka! bogatą — bo musisz pani posiadać wcale ładny mająteczek...

H. Dwadzieścia tysięcy franków rocznej renty.

V. Dwadzieścia tysięcy franków na rok! Cudowni!... Pani jesteś zachwycająca! dwadzieścia tysięcy rocznie!... — Ale — właściwie — zastanowiwszy się głębiej nieco, dlaczego bym właściwie, skoro to ja panią przecie skompromitowałem — (*n. s.*) dwadzieścia tysięcy franków — (*gł.*) dlaczego bym właściwie miał zmuszać tego biednego chłopca do ożenienia się z panią?

H. Co?

V. Skoro ja tutaj jestem — no bo przecież jestem tu!

H. Co pan mówisz?

V. Nie zorientowałem się w sytuacji jak należy. Skoro ja jestem winowajcą — ja winienem być ukarany.

H. Ukarany?

V. To jest... chciałem powiedzieć — ja winienem popełniony błąd naprawić. Połączmy się — daj mi pani rękę.

H. O nie. Odrzucam tę propozycję. Za pańskiego synowca wyszłabym jeszcze.

V. Za mego synowca! Za mego synowca!... Otóż co do tego synowca to ja panią troszeczkę oszukałem: jest brzydki, nieznośny, zdaje mi się nawet, że zezuje.

H. (*n. s.*) To kłamstwo! Biedny Ryszard!

V. Ma także trzy lata więcej niżeli ja, mógłby być moim ojcem.

H. (*n. s.*) Patrzcie państwo!

V. Więc cóż? Zgadzasz się pani? Przyjmujesz mnie?

H. Nigdy.

V. W takim razie zniewalasz mnie pani, abym cię do tego zmusił!...

H. (*przelekta*). Jakimże to sposobem?

V. Że panią jeszcze bardziej skompromituję.

H. Ale czyż pan sam przed chwilą nie powiedziałeś, że z panem byłabym nieszczęśliwą?

V. Słowa te wyrwały mi się w szale miłosnym... (*namietnie*) bo ja panią kocham, ubóstwiam i jeżeli mi będziesz odmawiać swojej ręki, otworzę drzwi, okna... (*chce to zrobić*).



H. Nie otwieraj pan!

V. (*z radością*). Więc zgadzasz się pani?...

H. (*zrezygnowana*). Zgadzam się!... (*pada na fotel przy kominku*).

V. O dzięki! stokrotne dzięki!... Teraz i ja pani zwierzę się z jedną rzeczą, która panią ucieszy. Powiedziałem pani przed chwilą, że mam już pięćdziesiąt pięć lat — to nieprawda: mam dopiero pięćdziesiąt cztery i cztery miesiące...

H. To prawie jedno i to samo. Skorośmy jednak do tego doszli, muszę panu powierzyć pewną dość delikatną misję...

V. Wszystko, czego pani zażądaś! (*z ogniem*). Wszystko!...

H. (*wskazując na stół*): W tym stoliku znajdziesz pan kasetkę, zawierającą listy i portret, który od kogoś przyjąłem, sądząc, że mam do tego prawo. Czy będziesz pan taki dobry zwrócić je temu, od którego je otrzymałam?... (*wstaje*).

V. (*biorąc kasetkę*). Pozwól pani... ale...

H. Ponieważ pan masz zostać moim mężem...

V. Zupełnie słusznie. (*otwiera kasetkę*).

H. Lecz listów proszę nie czytać!...

V. Ponieważ pani masz być moją żoną...

H. Zupełnie słusznie.

V. (*przebiegając jeden z listów*). Co za styl, pełen życia i ognia!...

H. Mój Boże! to listy od mego narzeczonego.

V. Dziwna rzecz... ja znam to pismo... Jego nazwisko?... adres?...

H. Znajdziesz je pan tam również.

V. Aha! jego portret!... — Nieba!... Ależ to Ryszard! mój bratanek!...

H. Tak, drogi wuju, twój bratanek, który, obawiam się niemal, raczej się panu wydziedzi-

czyć pozwoli, niżeli ci odstąpi praw swych do mego serca i ręki.

V. (*skonfundowany*). Ależ pozwól pani... (*n.s.*) Dwadzieścia tysięcy franków... (*gł*). Honor pani domaga się tego... Zostałaś pani przezemnie skompromitowana.

H. Och! pięćdziesięcioletni wujaszek...

V. Pięćdziesiąt cztery lat!...

H. I cztery miesiące...

V. To najpiękniejszy wiek...

H. Dla wuja — rozumie się! — w tym też wypadku wcale mnie pan nie skompromitował. Nie jestże to zupełnie naturalnem, że taki sympatyczny krewniak, przybywając z prowincji do Paryża, zajeżdża do swej bratanicy?... — Kochany wujaszku zatem — tam jest twój pokój! (*wskazuje drzwi*)...

V. Co, masz pani wolny pokój?

H. Oczekuje on na pana.

V. Czemuż mi pani tego wcześniej nie powiedziałas?... Pozwalaś mi pani nocować w fotelul!...

H. Czyżem wiedziała, że mam przed sobą wujaszka? Jutro poszlemy po pańskie bagaże i zainstalujesz się pan kompletnie u mnie.

V. Istotnie, co świat mógłby mieć przeciwko temu?

H. Równie jak i nasz sąsiad nieznośny!...

V. Albo i sąsiad!... Ale prawda!... Mam myśl!... Chodź droga kuzyneczko... (*otwiera okno*).

H. Co pan chcesz robić?...

V. Zobacysz pani zaraz. (*woła*): Panie... tego... Panie Berteux!... Czy można pana na chwilę prosić?... (*do H.*) Odezwał się?...

H. Powiedział: co takiego?



V. (*biorąc H. za rękę i przedstawiając:*) Pani Henrietta Vallon, na której czole składam serdeczny, ojcowski pocałunek i mój bratanek Ryszard Marlequin, inaczej Veroux, zasyłają panu uprzejme ukłony, jako narzeczeni. Młoda para prosi pana przez moje usta, abyś był łaskaw niedalekie ich zaślubiny uświetnić swoją nieobecnością zarówno w kościele jak i na uczcie weselnej. (*słychać trzask okna*).

H. (*śmiejąc się*). Ale wściekły!...

V. Po tem zaproszeniu—(*zamyka okno*) spać! droga kuzyneczko!...

H. (*podając mu lampę i zamykając drzwi:*) Oto lampa a tutaj twój pokój, drogi wuju... Dobranoc!...

V. (*całuje ją w czoło, patrząc jej w oczy*). Dobranoc!... (*idzie ku drzwiom, lecz wraca:*) Chciałbym jednak jeszcze zauważyć... — albo lepiej pójdę już spać... (*gra j. w.*) chciałbym tylko tyle zauważyć...

H. (*wróciwszy*). Co? wujaszek jeszcze tu?...

V. Chciałbym tylko zrobić jedną małą uwagę!...

H. Jakaż to?

V. Że to przecież jednak prawdziwa szkoda!...

H. Że?

V. Że jestem dla pani o cztery miesiące za stary; że nie jestem moim własnym bratankiem!...

H. (*serdecznie*). Użycz nam tylko naszego szczęścia, kochany wuju, i dziel je z nami, a może jeszcze sprzeniewierzysz się swemu widzimisię i także się ożenisz.

V. Ożenić! Co to, to nie!... Już ja to sobie dobrze rozważyłem!... Mężczyzna, który się po raz drugi żeni, nie był wart, żeby mu pierwsza żona umarła. — Dobranoc!

(*Kurtyna*).

## RANNA WIZYTA.

Komedja w 1 akcie Ch. Dance — przeł. Z. Niedźwiecki.

OSOBY: *Edward de Proux.*  
*Baronowa Arnault.*

*Rzecz się dzieje w naszych czasach.*

(*Elegancki salonik. Drzwi w głębi i z lewej. Z lewej na przodzie okno, po za niem zimowy pejzaż. Z prawej kominek, na którym ogień. Obok stolik do szycia, fotel, kosz z węglami, cegi. W środku sofka i dwa fotele, obok stolik i listy na tacy. Z lewej na froncie pod oknem stół i fotele. W głębi z lewej biurko, fotel, na nim kapelusze damski i szal, w głębi z prawej pianino. Dywan, portjery, firanki. Dzwonki, drobiazgi, kwiaty.*)

### SCENA 1.

BARONOWA (*sama*).

B. (*przy oknie*). I zima się zrobiła przez jedną noc. Śnieg pada tak gęsto, że mógłby ostudzić najgorętszą miłość, wyległą w mózgu marzyciela. (*z westchn.*) Bo czyliż ona kiedykolwiek istniała



gdzieindziej?... (*idąc ku środkowi, spostrzeżga listy.*)  
Listy?... Ciekawam, co mi też przynoszą?... (*otwiera jeden z nich, siadając na sofie.*) „Kochana Janinolo..  
Złe robisz, stroniąc tak uparcie od towarzystwa.  
Widzieć i być widzianą — wierzaj mi — nie zawadzi nigdy! A ludzie przeciw tobie intrygują...  
Na szczęście mogę cię jeszcze o tem przestrzedz  
zawczasu. Oto — ponieważ nie jest tajemnicą, że  
po twem pierwszym zameżciu, do którego cię zmu-  
szono, stałaś się względem mężczyzn niedowie-  
rzającą — przyszło wśród naszych znajomych  
panów do zakładu, że przed upływem tygodnia  
usposobienie twoje dla płci męskiej zmieni się cał-  
kowicie, tym zaś, który ma cudu tego dokonać,  
jest podobno twój sąsiad Edward de Proux, który  
dziś jeszcze wybiera się w tym celu do ciebie.“  
— Bardzo dobrze. — „Pan ten lubi odurzać ko-  
biety pięknymi słówkami, nim jednak zapadnie coś  
stanowczego, umie zawsze wycofać się zawczasu.  
Krótko mówiąc, jestto sympatyczny nicpoń, — za  
takiego też wszystkie go uważamy. U ciebie znaj-  
dzie on się z pewnością w dobrych rękach, po-  
mścij więc naszą pleć i przymuś go do stanowczej  
deklaracji a wtenczas, wyśmiawszy go porządnie,  
pokaż mu drzwi, bo sobie na to u nas kobiet, co  
się zowie, zasłużył. Tylko roztropnie!... Całuję cię  
— Twoja Charlotta“. (*wstając*). Więc to tak mój  
panie?... Przed upływem tygodnia?... Twierdza wy-  
daje się panu widocznie nader słabo bronioną.  
Przed tak zarozumiałym nieprzyjacielem nie war-  
toby się doprawdy bronić a nawet wogóle dopu-  
szczać do ataku, podejmowanego z taką wyzywają-  
jącą pewnością zwycięstwa. Przyjmę ja tego  
sławnego jenerała tak, że go odejdzie ochota do  
jakichkolwiek zdobywczych kroków!... — Tutaj

jest tak zimno, że mała potyczka na słowa mo-  
głaby mnie rzeczywiście cokolwiek rozgrzać, bo  
ogień ani rusz — jakoś nie chce. (*dzwoni i zwró-  
cona plecami do drzwi środkowych, siada przy  
kominku, zatrudniając się ogniem.*)

## SCENA 2.

BARONOWA — EDWARD.

E. (*wchodząc głębią, w ubiorze myśliwskim,  
kapelusze w ręce — d. s.*) Śnieg przerwał mi po-  
lowanie — przystąpmy zatem do rozegrania za-  
kładu o naszą piękną wdówkę. (*staje z lewej.*)

B. (*dzwoni — poczem nie odwracając głowy.*)  
Węgli.

E. Łaskawa pani?...

B. Węgli!

E. Węgli?...

B. (*odwracając się*). Pan de Proux?... Przepra-  
szam pana. Doprawdy — myślałam, że to mój  
służący.

E. Czemuż nim nie jestem!...

B. Kim?

E. Służącym pani!

B. Pan byś dla mnie był za drogi!

E. Drogim dla pani radbym się stać każdej  
chwili!

B. Nie to miałam na myśli. Pan byś zbyt wiele  
wymagał.

E. Życzliwego obejścia — nic więcej.

B. Więc bez żadnej zapłaty?...

E. Chciej pani tylko zatrzymać mnie przy sobie  
a będzie to dla mnie najwyższą zapłatą!...

B. Nie ufaj pan zanadto samemu sobie!



E. Nie więcej, niżelim powinien. Czy nie zechciałaby mnie pani przyjąć bodaj na próbę?

B. Nie — ponieważ... masz pan złe świadectwa.

E. Kto to powiedział!

B. Pańska poprzednia pani.

E. Niepodobna! Służba u pani byłaby pierwszą moją służbą, a pani — pierwszą mą panią, i ręczę...

B. Trafiłabym na niezbyt godnego zaufania sługę.

E. Jeśli mi pani nie da skończyć rozpoczętego zdania...

B. Mój przyjacielu!... Rozmawiając z kobietą, powinienes się pan czuć szczęśliwym, gdy panu pozwolą zdanie zacząć!...

E. Wiem ja dobrze, że kobiety...

B. (*wstając*). Są gadatliwe, chcesz pan powiedzieć?... Na ogół biorąc — tak. Lecz ja jestem wyjątkiem. Pozwalam panu mówić lub milczeć, ile ci się podoba — proszę tylko: mówmy po kolei i kiedy jedno zabierze głos, niech się wówczas drugie nie odzywa. (*przechodzi na lewo*).

E. (*nieco zbity z tropu, przechodzi po za sofę w prawo i kładzie kapelusz*). Teraz to już nie wiem zupełnie, co mam mówić.

B. Biedaczysko!... W takim razie weźże pan kosz z węglami i dołóż do ognia na kominku.

E. Czy nie byłoby lepiej zadzwonić na służącego?

B. A to po co?... Czyż nie starasz się pan o jego miejsce?... Wszedłeś tu nawet w jego zastępstwie.

E. Ponieważ otrzepywał tymczasem z śniegu mój płaszcz.

B. Nic zatem sprawiedliwszego, jak abyś go pan tutaj zastąpił. No proszę!... (*wskazuje na koszyk z węglami*).

E. (*bierze oburącz koszyk*).

B. Doskonale pan się do tego bierze... Możliwość myśleć, że byłeś całe życie lokajem...

E. Ależ łaskawa pani...? (*omal nie upuścił koszyka*).

B. Nie rozsyp pan węgli, bo stracisz miejsce!

E. Proszę mnie posłuchać.

B. (*śmiejąc się*). Z koszykiem w ręce?

E. Skoro pani myśli wszystko w śmiech obrać, to będzie chyba rzeczywiście najlepiej, jeżeli za pomocą sztucznego ciepła spróbuję rozgrzać wrodzoną jej oziębłość. Rozniecę zatem ogień, zanim ulżę sercu. (*idzie do kominka*).

B. Nie ruszaj się pan!... Słuchałam już z rozmaitych ust poważnych wynurzeń — z ust węglarza są one dla mnie nowością. Mów pan dalej — ten koszyk czyni konwersację pańską dziwnie pikantną.

E. Ten koszyk zdaje się panią bawić, no i w rzeczy samej — muszę z nim dosyć komicznie wyglądać.

B. Proszę, mów pan dalej. Nie potrafisz pan sobie nawet wyobrazić, jak ci z tym koszykiem do twarzy.

E. Ma pani rację. Człowiek serjo, który czuje prawdziwie, może się wypowiedzieć nawet z koszykiem węgli w ręce. Ja zaś płonę potrzebą wypowiedzenia się. (*patrzy na nią*).

B. (*odwraca się szybko*).

E. Pani baronowa!.. ja płonę...

B. Płon pan, bardzo proszę.



E. (*stawia koszyk przy kominku, i idąc w lewo d. s.*). Ten chłód mnie obraża. Nie zwykłem być traktowanym przez kobiety w taki sposób. A może ja ją zajmuję mocniej, niżby to chciała okazać?...

B. (*przeszedłszy dokoła sofy w prawo*). Czy pan do mnie co mówił?... Nie zrozumiałam ani słowa.

E. Ja mówiłem do siebie.

B. (*zimno*). Nie ma sposobu zapewnić sobie uważniejszego słuchacza.

E. (*n. s.*). Łód!... Oddałam się. Zobaczę, co ona uczyni. (*gł.*) A ponieważ skończyłem — zatem, łaskawa pani — żegnam. (*oddawszy ukłon, idzie ku środkowym drzwiom, które otwiera i staje w nich*).

B. Pan już idzie?

E. Tak jest. Do widzenia.

B. Kiedy?

E. Jutro. (*n. s.*). Dzień wiele może.

B. Jutro?... O nie!...

E. (*zamyka drzwi, przechodzi ku lewej*). Więc pozostać?

B. Jak się panu podoba. Lecz jutro proszę nie przychodzić.

E. Nie będzie pani w domu?

B. Będę oczekiwać kogo innego.

E. Mężczyznę?

B. To właśnie najgorsze.

E. Przyszłego męża może? Lecz nie! nigdy w to nie uwierzę, abyś pani zechciała powtórnie wyjść za męża.

B. Ma pan rację. Odchodzi pan więc?

E. Teraz już z lekkim sercem. Żegnam panią. (*otwiera drzwi i staje w nich*). Zrobiło mi się tu u pani gorąco.

B. I chcesz mi pan teraz pokój wyziębici. Wejdz pan proszę z powrotem lub oddal się, ale bądź łaskaw zamknąć drzwi.

E. Zamknę je — lecz tym razem na zawsze.

B. Sam zaś zostaniesz po której stronie drzwi?...

E. Proszę rozstrzygnąć! Pani sobie życzy — ?

B. Nic sobie nie życzę — jestem tylko ciekawa...

E. A więc życzeniu pani stanie się zadość. Zostanę — po tej stronie. (*wchodzi, zamykając drzwi*).

B. Jesteś pan bardzo zarozumiały, a pańska chępliwość doprawdy bawi mnie.

E. (*n. s.*) Drwij sobie, drwij — przyjdzie chwila odwetu!

B. Zatem — panie?

E. Zatem — pani?

B. Nie powtarzajże pan jak echo moich własnych słów. Mów pan zajmująco, staraj się być dowcipnym, miłym... Przypuśćmy na przykład, że znajdujemy się oboje na scenie i że gramy komedję...

E. Niech pani wyłuszczy z łaski swojej plan komedji...

B. Spróbuję. „Rzecz dzieje się w naszych czasach, w mieszkaniu baronowej Arnault. Jestto młoda wdowa, mająca opinię osoby pięknej, sympatycznej, bogatej i zrażonej do mężczyzn swem pierwszym małżeństwem, co czyni ją dla nich bardzo pikantną, ponieważ zaś panowie ci skłonni są do przeceniania wpływu swego na kobiety, przeto — —“

E. Pozwoli pani..



B. Nie przerywaj mi pan... „Przeto baron de Proux odwiedza ją pod pozorem rannej wizyty, z ukrytym zamiarem..“

E. Łaskawa pani —

B. Nie przerywaj pan... „z ukrytym zamiarem przełamania niechęci wdówki. Rozumie się, baron de Proux uważa się za niezwycięzonego, polegając na łatwych tryumfach, jakie udawało mu się odnosić nad kobietami słabemi..“

E. (*n. s.*) Czego ma dzisiaj jeden dowód więcej.

B. „Wyzyskując więc dawną znajomość z baronową, pomija zwyczaje, przyjęte w dobrem towarzystwie, i wchodzi do jej salonu, nie kazawszy się anonsować, wskutek czego ona nie może mu nawet kazać powiedzieć, że nie ma jej w domu.“

E. Czy pozwoli mi pani wyjaśnić to wszystko?

B. Jeżeli pan potrafisz — i owszem. Tymczasem zaś — chodź pan tu: „Baronowa Arnault, zdumiona podobnem zachowaniem, siada w jednym rogu sofy (*prawym*), drugi zaś wskazuje przybytemu, by go zajął (*baron już chciał usiąść, lecz ona wstrzymuje go za rękę*). Baron już miał usiąść, gdy nagle przypomniał sobie, że się jeszcze na znak podziękowania nie ukłonił, (*baron czyni to*). Wówczas dopiero, naprawiwszy swój błąd, siada (*E. siada*). — baronowa zaś czeka cierpliwie na przyrzeczone wyjaśnienie jego niezwykłego zachowania.“

E. Dam je pani w dwóch słowach.

B. Mianowicie?

E. Kocham panią.

B. Zwolna! Nie przyspieszaj pan końca naszej komedji.

E. Więc pani uważa mnie za komedjanta?

B. W miłości jest nim każdy mężczyzna. Oszukujecie nas wszyscy!

E. I nie wierzy pani w wyjątki?

B. W żadne.

E. Uwierz baronowo w możliwość wyjątku a przed upływem tygodnia dowiodę ci, że nim jestem.

B. Aby wygrać zakład z przyjaciółmi?

E. Nie! — aby cię przekonać, że nie wszyscy zasługujemy na taką nienawiść. Gdyby mi się to zaś nie powiodło —

B. W takim razie pójdiesz się pan umizgać do innej.

E. (*wstając*). Łaskawa pani —

B. Siedź pan grzecznie i nie unos się. Oszczędzaj wzruszeń dla innych.

E. Powiedziałem już, że panią kocham.

B. I teraz brak ci dalszego tematu?

E. Kochać panią to już temat niewyczerpany — ale pani zamrażasz mi na ustach najgorętsze słowa swym chłodem... Pani... Poznałem panią trzy lata temu na balu. Tańczyliśmy z sobą... i do końca życia nie zapomnę tej polki...

B. Ależ to był kadryl! baronie.

E. Tak jest, kadryl — chciałem się właśnie przekonać, czy pani pamięta.

B. (*n. s.*) Po cóżem się zdradziła!

E. (*n. s.*) Niech mnie лихо porwie, jeżeli pamiętam, czy to był kadryl, czy polka. (*gł.*) Na owym to balu straciłem serce, a moja danserka dowiadyuje się o tem dopiero dziś.

B. Jaktó?!... I przez trzy lata potrafisz pan milczeć?

E. Miłość moja żyła — jak fiołek — w ukryciu.

B. W zupełnem incognito!



E. Łaskawa pani, nie żartuj, proszę, w chwili podobnej. Zbyt sroga byłaby to kara dla tego, któremu dotąd zawsze dopisywało u kobiet szczęście, którego one kochały tuzinami, a on z ich uczuciem igrał tylko. Pomnij pani, jeśli się zechcesz znać nademną, że i dla ciebie przyjść może dzień odwetu...

B. Niebezpieczeństwo ęci mnie.

E. Nie trzeba z ogniem igrać — w miłości szczęście i ból chodzą w parze — kobiety słabe są! mężczyzna lubi zdradzać...

P. Jakież paradne sentencje do wzorów kaligraficznych!

E. Baronowo! pamiętaj, że kiedyś na drodze twego życia zjawić się może taki, co cię będzie uwielbiał. Będzie przystojny — a przecież wyda ci się pospolicym; wszyscy uważać go będą za bardzo sympatycznego — pani jedna znajdziesz go nudnym. Jak dla mnie — tak samo pozostaniesz pani obojętną i dla jego słodkiego głosu, dla jego delikatnego obejścia. A przecież ten właśnie człowiek złamie twój upór!... Przez co?... Przez cierpliwość i — pochlebstwo. Będzie on podziwiał pani maleńką, zgrabną nóżkę...

B. Baronie, proszę pana...

E. Zachwycać go będzie — no i słusznie — lotny ruch tej nóżki w tańcu. Będzie on przyrównywał do arcydzieł klasycznych twoją kształtną postać, a twemu dowcipowi przypisywał blaski brylantu...

B. Baronie, tchu ci zbraknie.

E. A zdoławszy nakoniec zwrócić tym sposobem uwagę twoją na to, co mówi, zaczniesz się

unosić nad twoim słodkim, czystym i dźwięcznym głosem, nad cudnym rysunkiem twych ust...

B. (*przegina się w tył, przysłaniając twarz chusteczką*).

E. Tu jednak brak mi już słów... Nie dlatego, że pani z niepojętą skromnością zasłoniłaś twarzyczkę, tylko, że język ludzki staje się tutaj nazbyt ubogim. I on to odczuje i zwróci całą swoją uwagę na tę maluchną rączkę, której, jak ja w tej chwili, nigdy nie oglądał bez rękawiczki. Ośmieli się nawet, porwany jej widokiem, w dłonie swoje ją ująć i nie natrafiwszy na opór — ucałować. (*czyni*). To panią przekona o jego bezgranicznym oddaniu i dokona wreszcie przemiany w twoich dla niego uczuciach. Postać jego, głos i słowa wypiękniją nagle w twych oczach, — ujrzysz, że... Posuwam się jednak doprawdy nieco zadaleko... Dlatego proszę... weź pani swoją rączkę... (*puszcza — ręka opada bezwładnie — n. s.*) Co to ma znaczyć?... Czyżby się czuła obrażoną?... Nie!... Została pokonana!... i to prędzej, niżeli sam przypuszczałem... Edwardzie!... co za szatan z ciebie, że ci się żadna kobieta oprzeć nie potrafi?... (*zdejmuje lekko z twarzy jej chustkę*). Co?!... Ona śpi!... Usnęła! w chwili, kiedy przemawiałem do niej jak młody bożek!... (*wstaje i chodzi wzburzony po prawej*). To można pęknąć — wściec się! — oszaleć!! — (*baronowa czyni poruszenie*). Cicho — zbudziła się...

B. (*jakby budząc się*). Co to za hałas?... Spałam tak smacznie!

E. I równie smaczne zapewne miałaś pani sny?...



B. Istotnie. Śniło mi się, że mi jakiś przystojny, pełen dystynkcji mężczyzna tysiącne grzechności prawil...

E. A pani jego słowom wierzyłaś?

B. O nie! słowom mężczyzny nie wierzę nawet we śnie. Naraz przemienił się w małpę, która pokazała mi zęby a potem rzuciła się na moją rękę, chcąc mnie ugryźć. Wtedy zbudziłam się...

E. By się dowiedzieć, że i inni także zbudzić się mogą ze swoich snów. Łaskawa pani — moje uszanowanie.

B. Dokąd zmierza „przystojny, dystyngowany mężczyzna“?

E. „Mężczyzna“? Pani masz — „małpę“ na myśli.

B. Niech więc będzie i małpa.

E. Do ogrodu zoologicznego! (*wychodzi głębia*).

### SCENA 3.

BARONOWA (*sama*).

B. (*wstając*). Poszedł. Młoda, niedoświadczona dziewczynka pomyślałaby z pewnością: straciłam go na zawsze! Doświadczona wdowa nie będzie równie łatwowierną. Zna ona lepiej świat, przede wszystkim zaś mężczyzn. Za pięć minut będzie on tutaj z powrotem — dłużej nie da mu wytrzymać z tamtej strony drzwi—jego zakład. (*patrzy w prawo*).

### SCENA 4.

BARONOWA — EDWARD (*zwolna wchodzi*).

B. (*d. s.*) Byłam zbyt hojną!... Nie wytrzymał i pięciu minut. (*do E.*) Cóż to?... Nie przyjęto pana w ogrodzie zoologicznym?... Mają już zatem egzemplarz pańskiego gatunku?...

E. Nie — lecz nie chcę mnie przyjąć bez poświadczenia, że służyłem pani istotnie za małpę do rozpędzania nudów.

B. Złośliwość pańska zmusi mnie do wyjścia.

E. Jeśli nie zdołam pani zatrzymać — pani mnie zaś zatrzymać nie chce...?

B. Żegnam pana! (*wychodzi w lewo*).

### SCENA 5.

EDWARD (*sam*).

E. (*patrząc za nią*). Jak się pani podoba—ja jednak oddać się nie myślę. A mój zakład!... Naładną bym się wystawił śmieszność, przegrawszy go. Przytem baronowa mi się podoba. Nawet bardzo podoba. Nie chciałbym stawać przed jej oczyma w złem świetle. Czekajmy zatem a zobaczymy, co będzie jeszcze do zrobienia. (*siada przy komin*).

### SCENA 6.

EDWARD — BARONOWA.

B. (*wchodząc*). Pan jeszcze tu?

E. Łaskawa pani już z powrotem?...

B. Jestem przecież w mojem własnym mieszkaniu — cóż więc w tem dziwnego, gdy sądząc, że nakoniec zostałam samą...

E. O! ja już miałem odejść, wróciłem tylko, aby... aby...

B. Trudno się panu będzie wytłómaczyć, a nie zechcesz, myślę, poniżyć się do kłamstwa?...

E. Ma pani rację... Wróciłem, by panią przekonać, że nie jestem skończonym potworem i aby się z nią rozstać w sposób mniej nieco błyskawiczny...



B. Wyznaj pan lepiej, że czując się rozgrzanym, bałeś się przeziębić na mrozie...

E. Tak pani sądzi?... W istocie, ostygnąć przed wyjściem nie zawadzi. (*siada przy kominku tyłem do niej*). Nie ma pani czegoś w rodzaju gazety?

B. Gazety?... Nie zechcesz pan przecież czytać w mojej obecności!

E. Czemu nie. Pani spałaś, aby mnie ochłodzić — ja sobie poczytam, by ostygnąć do reszty.

B. Nie spałam bynajmniej. Słyszałam eo do słowa wszystkie pańskie nonsensa.

E. Nonsensa?... A rzeczywiście. Kobietom nie mówi się nic innego. Ale co najpyszniejsze — że one w nie wierzą! Niebożątka!

B. (*wstając*). „Niebożątka“? Baronie, stajesz się zbyt śmiałym. Nie pochlebiasz pan sobie chyba, bym brała na serjo pańskie napuszyste frazesy...

E. Dlaczego nie!.. Kobiety starają się nas ośmieszać, kiedy nadskakujemy innym — lecz same chwytają się natychmiast na tę samą przynętę.

B. Więc ja się chwytam na przynętę?... Panie baronie!...

E. Uwagi moje nie tyczą się pani. Pani przecie jesteś zdeklarowaną nieprzyjaciółką męskiego rodu.

B. Z czego pan to wnosisz?

E. Wyznałaś pani otwarcie, że nie wyjdiesz powtórnie za mąż.

B. Być może, że źle uczyniłam, mówiąc to głośno, nie dowodzi to jednak wcale, abym była nieprzyjaciółką mężczyzn. Słowa zaś i wyznania, jakie pan przed chwilą z aż nazbyt widocznym wzruszeniem do mnie wygłosił, nakazują mi,

mimo że byłeś mi pan zupełnie obojętnym, zapytać teraz: czy pan mówiłeś serjo?..

E. (*z śmiechem*). Nie.

B. Chciałeś pan zatem ze mnie zażartować?

E. (*j. w.*). Tak.

B. (*n. s.*). Tego za wiele! (*gł.*) Nie wierzę panu! Pańska obojętność jest nienaturalną.

E. Pani wzburzenie również.

B. Sądziłam, że została oszukana. Widzę, że tak nie jest. Pan mówiłeś szczerze.

E. Przenigdy.

B. Pan mnie przenosisz nad wszystkie kobiety!

E. Ale gdzieżtam.

B. Tak jest! Pan mnie kochasz do szaleństwa!...

E. Pozory, pozory!

B. Powtarzam: Pan mnie kochasz do szaleństwa!... A gdybyś mnie nawet i nie kochał, to rzeczy wcale nie zmienia. Po tem, co do mnie wyrzekłeś, obowiązany jesteś mnie poślubić i ja tego żądam od pana.

E. (*innym tonem, podnosząc się*). Pani to mówi serjo?

B. Oczywiście.

E. Więc to na serjo?!... W takim razie posłuchaj mnie pani baronowo. — Pani wolno wyjść lub nie wyjść za mąż, wszak prawda?... sposób jednak, w jaki głosiłaś, że nie wyjdiesz, był kamieniem obrazy dla całego świata mężczyzn, którzy dla uzyskania należytej satysfakcji na mnie włożyli obowiązek przełamania uporą pani. Osiągnawszy cel ten w zupełności — usuwam się, nie kryjąc przytem, że osoba pani oczarowała mnie!.. — czy aż do pożądanego jej ręki, o to mniejsza, wszelkie bowiem uczucia osobiste usuwają się na drugi plan wobec dopełnionej powinności. Chodziło



o to tylko, by panią przekonać, że urągałaś nam niesłusznie. Jeśli pani w tej mojej roli karzącej sprawiedliwości przykrość jaką sprawięm — boleję nad tem i proszę: przebac mi pani. Żegnam. (*chce iść*).

B. Chwilkę jeszcze... Baronie! zastanów się nad tem, że twoje zwycięstwo nie jest szlachetnem. Kilkunastu! kilkudziesięciu mężczyzn sprysięga się przeciwko jednej kobiecie i panu powierza wykonanie planu. Klęska ośmieszyłaby pana w oczach towarzyszków — ale zwycięstwo wszystkie kobiety zwróci przeciw tobie.

E. (*przechodząc na lewo — n. s.*). To prawda!..

B. (*n. s.*). Tylko tak dalej. (*gł.*) Zwyciężyłeś pan moją dumę, nie przeczę, potęgą przymiotów, jakie posiadasz, porywającą wymową, w jaką natura wyposażyla cię tak hojnie — a teraz — po dokonaniu zwycięstwa — opuszczasz mnie?..

E. Jakto?... Kochałabyś mnie pani w rzeczy samej?

B. Pan wiesz o tem zbyt dobrze. Znasz przecie samego siebie. Dlaczego wreszcie pana obrano, nie kogo innego?... Ponieważ wiedziano, że tylko ty jeden nie poniesiesz z pewnością klęski. Być może, że duma pańska, syta dawniejszych zwycięstw, nie pragnie już widzieć nowych niewolnic u twego tryumfального rydwanu. (*bardzo wzruszona*). Zbliżać się jednak do kobiety w tym celu, by ją po odniesionem zwycięstwie porzucić — o, toby było zbyt podobnem do okrucieństwa tych nielitościwych ptaszników, co pozwalają ptaszynom ginąć w zastawionych na nie siłach... (*placze*).

E. (*n. s.*). Ginąć?... Cóż znowu!.. Na to się chyba nie zanosz! Zaszedłem jednak rzeczywiście tak daleko, że muszę bądź co bądź naprawić mój

błąd. (*gł.*) Nie, pani baronowo, uspokój się. Mogę się komuś wydać lekkomyślnym, porywczym — okrutnym jednak nie nazwiesz mnie pani. Widząc zaś, że osiągnąłem w sercu pani więcej, niżeli było moim zamiarem — dowodem to, jak nikt z nas nie zna nigdy całkowicie swej siły — widząc, że pozyskałem twą miłość, gdy zależało mi jedynie na zjednaniu sobie twej sympatji — nie będę tak nieszlachetnym, aby na łyzy twe obojętnie patrzeć... (*n. s.*) zwłaszcza, że jej z niemi tak bardzo do twarzy i że mógłbym, na honor, daleko mniej szczęśliwy wybór uczynić — (*gł.*) i proszę cię: przyjm moje nazwisko i ramię.

B. Jakże mało znasz baronie tę, którą obdarzać raczysz litością, jeżeli ci się zdaje, że po podobnem oświadczeniu poślubić by zechciała króla nawet!.. Dziękuję panu jednak za wyrzeczone słowa, tembardziej, że natchnęła cię niemi nie miłość.

E. Ależ baronowo!.. Mylisz się pani... I owszem... Z początku istotnie myślałem... zdawało mi się... teraz jednak jestem przekonany...

B. Mnie przekonać przyszłoby panu z daleko większą trudnością...

E. Przekonasz się pani wszakże z czasem, że jestem twym niewolnikiem, gotowym spełnić wszelkie twe życzenia...

B. Biorę pana za słowo. Proszę mi podać mój kapelusz i szal (*z biurka z lewej*). Weź pan także i swój kapelusz (*z pianina*).— (*B. przechodzi na prawo*). A teraz włóż go pan! (*E. z prawej na froncie, chce włożyć na głowę swój kapelusz*). Nie, nie... mój kapelusz pan ubierz.

E. (*zdziwiony*). Pani kapelusz?



B. Tak jest. I szal także. (*E. czyni*). A teraz daj mi pan swój kapelusz.

E. (*podając*). Oto on... Zdumiony jestem do prawdy...

B. A teraz, kiedy ja jestem panem a pan mną — uklękniij pan i pokaż mi, w jaki to sposób pańskie wielbicelki ubiegały się o względy twego niezwyciężonego serca. Tak jestem ciekawa — widzieć to. (*wdziewa kapelusz jego*).

E. A więc dobrze! Zaczynam! (*kleka*). Kiedyż wreszcie wysłuchać raczysz, ty czarujący tyranie, pokornych moich błagań o wzajemność?...

B. (*n. s.*) Jest więc, gdzie być powinien: u moich nóg!... O! jakże słodką jest miłość!... lecz zemsta jest jeszcze słodsza!

E. Żeby mnie jednak na tę żenującą i niewygodną pozycję zbyt długo nie skazywać — powiedz: kochaszże mnie?

B. A gdybym rzeczywiście kochała?... (*imitując go*). Wszelkie jednak uczucia osobiste ustępują na drugi plan wobec spełnionej powinności. Chodziło mi o to jedynie, aby pana przekonać, że uragałeś mi niesłusznie. Jeśli panu w tej roli karzącej sprawiedliwości przykrość sprawiłam — boleję nad tem i proszę: przebac mi!... Żegnam!

E. Więc pani mnie nie kocha?

B. (*zdejmując i odrzucając kapelusz*). Rozumie się, że nie. Udawałam tylko.

E. (*wstając i odrzucając szal i kapelusz*). To tak samo jak ja.

B. Spóźnione zepewnienie!... Z pańskiej pocho-  
pności rzucania się na kolana wynika...

E. Że sobie kolana powalałam i potrzebuję szcztotki...

B. Mój służący jej panu nie odmówi — z tamtej strony drzwi...

E. Gdzie również dowiedzą się moi przyjaciele o rezultacie mej wyprawy. Dałam słowo, że wyznam całą prawdę.

B. Powiesz jej pan tylko połowę, jeżeli nie chcesz, aby się z pana śmiali.

E. Wszak wyznałaś mi pani swą miłość! Zwyciężyłem!

B. I pan mnie swoją wyznałeś. I ja zwyciężyłam także!

E. A więc będziemy ośmieszeni oboje.

B. Daleko większa śmieszność okryłaby mnie, gdybym panu oddała moją rękę.

E. Przeciwnie, baronowo! — To też posłuchaj mnie pani: jedynym ratunkiem przed śmiesznością dla mnie — w razie porażki, dla pani zaś — w razie, gdybyś dłużej za nieprzyjaciółkę rodzaju męskiego uchodzić miała — jest: nasze małżeństwo!

B. Co znowu!.. Moje małżeństwo z tak sławnym, z tak chciwym podbojów jenerałem?!...

E. Zostań pani moją a podbój ten będzie moim ostatnim, bo przezeń zdobędę świat!...

B. Igraliśmy jak dzieciaki z rzeczą bardzo poważną — lecz zdaje mi się, że możemy sobie wzajemnie zaufać i nie dbać o to, czy będą czy nie będą śmiać się z nas ci, których cudze szczęście pobudza do śmiechu — zazdrości!

(*Kurtyna*).



## LISTY MIŁOSNE.

Krotochwila w 1 akcie z francuskiego — opracował  
Z. Niedźwiecki.

OSOBY: *Pan X.*  
*Pani Y.*

(*Salonik*).

SCENA 1.

PAN X. (*sam*).

X. (*kapelusz, laska, rękawiczki — stojąc po za rozwartymi drzwiami środkowemi, mówi w lewo*). Powiadasz zatem, że mogę wejść moja ślicznotko?... Dobrze, bardzo dobrze... (*wchodzi parę kroków*). A jak ci na imię?... Żanetta?!... Bardzo ładne imię. Ale ty jesteś ładniejsza... Swoją drogą, wiesz, jabym wolał, żebyś ty się wpięrow zapytała, czy pani naprawdę przyjmuje... Zbyteczne — mówisz?... Ano, jak zbyteczne... Więc tobie na imię Żanetta?... Słuchajno, moja Żanetko... czy tylko twoja pani napewno przyjmuje?... Bo może pani jest dzisiaj naprzykład trochę cierpiąca?... albo —

dajmy na to — nie w humorze?... Raz się ma — widzisz — humor, drugi raz się nie ma humoru... Nie zawsze bywamy w humorze... Prawda?... A widzisz. Otóż jeżeliby twoja pani przypadkiem właśnie... Nie?... Z pewnością nie?!... No to do brze. W takim razie zostaję. (*na froncie*). Ale zostaję z tremą, jakiej każdy dyświadczyłby na mojem miejscu, mając do spełnienia tak przykra... tak delikatną... tak drastyczną misję. — Mój przyjaciel Gaston — żeni się! Biedaczysko!... Głupstwo robi — ale okoliczność łagodząca stanowi to, że jego przyszła ma lat 18-cie, jest piękną jak sen i co najważniejsze, dostanie w dniu ślubu 500,000 franków gotówką. W takich warunkach można się przecież ostatecznie poddać okrutnemu losowi i związać sobie życie tym złotym drobiazgiem, który nosi smętną nazwę obrączki ślubnej, ale da się na szczęście, w nagłych razach, schować do kieszonki od kamizelki. Wszystko by to jednak było jeszcze jako tako, gdyby nie pewna drażliwa i ambarasująca historia. Gaston ma... stosuneczek... (*giest wskazujący na podłogę w znaczeniu „tutaj”*). Stosuneczek miłosny, jak tyłu młodych ludzi, obdarzonych sercem dość gorącym i dostatecznie przystojnych oraz bogatych, aby... aby mieć stosuneczek. Stosuneczek ten należało już dawno zerwać!... dawno!... zaraz po zaręczynach... Ale Gaston jest tak miękki, ona zaś — jeśli wierzyć jego opisom — ma być tak miła, że się zerwanie odwlekało, odwlekało — i jutro ma być Gastona ślub! — a ona jeszcze o niczem nie wiel... — „Bój się Boga!” — Gaston tedy do mnie: — „Ratuj mnie!... Ty jesteś do takich delikatnych misji jedyny — idź! powiedz jej wszystko! zwróć jej listy, fotografie i poproś w zamian o moje! Oddasz



mi przystęgę nieocenioną!...“ Dobryś! — myślę sobie. Bo to się przecież nazywa: cudzemi rękoma kasztany z ognia wyjmować!.. Jeżeli ta miła kobiątka lubi w pewnych okolicznościach wydrapywać ludziom oczy — no to, nie mając przed sobą oczu Gastona, gotowa się ostatecznie kontentować i mojemi?!... Ale trudno. Żeni się jutro — skazańcowi w wilgie egzekucji nie odmawiają niczego — więc przystałem. Wziąłem pakiet z listami — przyszedłem i... trochę się trzęsę. No bo to nietrudno ostatecznie pojąć... Kobieta kochająca, kochana jeszcze wczoraj — a tu jej nagle przychodzą powiedzieć: — „Adieu Fruziul... żenię się. Bierz swoje listy — dawaj moje — i bądź zdrowa.“ To nie jest pigułka na uspokojenie kobiecych nerwów!... Misja nadzwyczaj delikatna!... Więc mam maleńki dreszczyk — i dlatego tak wypytywałem Żanetę... *(ku drzwiom z lewej, n. s.)*. Aha!... To zapewne ona...

SCENA 2.

PAN X. — PANI Y. *(wchodzi)*.

X. *(n. s.)*. Minka gospodyni domu. To oczywiście ona. *(gł.)* Pani!

Y. Panie?...

X. Pani wybaczy, że jakkolwiek osobiście nieznamy...

Y. Proszę, niechże pan siada... *(siadając)*. Czem mogę służyć?...

X. *(n. s.)* Ładna!... *(gł.)* Ja... yy... to jest... Mnie przysyła... a właściwie *(n. s.)* Bardzo ładna... *(gł.)* Powodem, dla którego mnie pani u siebie

widzi, jest pewna delikatnej natury misja... *(n. s.)*  
Zupełnie ładna!

Y. Misja?

X. Tak pani, misja... *(n. s.)* Ogromnie ładna... Zaczynam pojmować Gastona... *(gł.)* Misja, która... *(n. s.)* Te oczy?!... *(gł.)* yy... dla której... *(n. s.)* ten nosek!... usta!... *(gł.)* a raczej przez którą... *(n. s.)* Ale głównie nosek! *(gł.)* Misja to tego rodzaju, że... *(n. s.)* Oj oj... jakże to trudno wykrztusić... Ten Gaston to niegodziwiec!... Ale ja go pojmuję, zupełnie go poj...

Y. *(z uśmiechem)*. Czy dowiem się nareszcie?

X. *(n. s.)* Jakaż ona miła!... *(gł.)* Tak jest pani, natychmiast. Jakby to najkrócej — nie nudząc pani — powiedzieć?... Przychodzę... od „niego...“

Y. Od niego?!... O Boże!... Czy się co złego stało?!...

X. Złogo?... Hm... to zależy... Zresztą pani sama najlepiej oceni... Tylko proszę nie denerwować się... Mój przyjaciel... nasz przyjaciel... mnie tu przysyła, abym...

Y. Mów pan... Mówże pan! Mam jakieś straszne przeczucie... Nie mogłam zasnąć tej nocy... Czy może chory?...

X. *(n. s.)* Jak ona go kocha!... *(gł.)* Gorzej, pani.

Y. Pojedynek?!!

X. *(n. s.)*. Jak ona go... *(gł.)*. Gorzej!

Y. Przecież, na litość boską, nie umarł?!...

X. Tak źle nie jest.

Y. Więc coś takiego?!...

X. Nasz przyjaciel... żeni się...

Y. Żeni się?!... Boże!!... Wolałabym, żeby umarł!!... *(wybucha płaczem)*.

X. *(n. s.)*. O dobra duszo!... Jak ona go kocha!...



Y. (*placząc*). Czegóż ja się dowiaduję!.. Żeni się!... (*tka*).

X. Niechże pani zapanuje nad sobą...

Y. (*szlochając*). Dobrze panu mówić... Wymierzyłeś mi cios w samo serce i każesz nad sobą panować...

X. Wybacz pani, ale starałem się przecież jak najdelikatniej...

Y. (*j. w.*) Zapewne... Do pana też nie mam żadnego żalu... Ale on!... on!... Za moją miłość!... wierność! za moje bezgraniczne oddanie. (*placze*).

X. (*n. s.*) Jaka ona piękna!...

Y. (*w łzach*). Otóż to los kobiety!... To naszych poświęceń nagroda... Narażamy nasz spokój, byt, sławę, wszystko! dawszy się opętać czułym wyznaniom i przysięgom gorącym, uwierzywszy, że jesteśmy i będziemy w rzeczy samej kochane całą duszą!... Poddawszy się uczuciom po długiej walce z sobą, po wielu bezsensnych nocach, idziemy z zamkniętymi oczyma w tę otchłań, w którą mężczyzna wiedzie nas zakłębieniami na swoje i nasze szczęście, czyniąc to z najzimniejszą krwią, bo nic nie ryzykuje, bo dla niego jest to tylko jedną mniej lub więcej zabawką — a pewnego pięknego południa zjawia się nagle jego przyjaciel, by nam o nim oznajmić, że się żeni!... że możemy sobie już iść, jak odprawiony sługa, bo jesteśmy już niepotrzebne!... Ach! to przecież okropne!... (*wybuchając płaczem*).

X. Łaskawa pani!... (*n. s.*) Jaka ona śliczna!... (*gł.*) Szanowna pani!... (*n. s.*) Ja pojmuję Gastona! (*gł.*) Kochana... droga... pani... (*n. s. z zapętem*). Ona jest!...

Y. (*przez łzy*). O! nie perswaduj mi pan... Nie tłómacz go!... On jest podły!...

X. Ależ ja go wcale nie tłómaczę!... Ja mu to samo przecież powiedziałem... (*n. s.*) Nie prawda, nie mówiłem mu ani słowa. (*gł.*) I każdy mu to samo powie... że jest podły!... Ja... ja byłem... na niego... oburzony!... Powiedziałem mu... yy... jak ja mu to powiedziałem?... Aha!... Powiedziałem mu: — „Słuchaj!... ty jesteś — podły!“ Takem mu powiedział... A jakże!... O ja go nie oszczędzałem ani trochę!... Niech mi szanowna... droga... kochana pani wierzy, że ja... gdyby nie był moim przyjacielem... to jabyłem go... Ho! ho!... A jakże!...

Y. (*szłamana*). Niechże się chociaż dowiem, kto jest ta, co mi go zabiera? — z kim się żeni... Pewno z jakąś bogatą rozwódką!

X. Nie, nie, — nie z rozwódką.

Y. A więc z starą panną, która odziedziczyła gruby majątek?

X. Nie z starą panną. Z całkiem młodziutkiem dziewczęciem.

Y. Biedna ofiara!... W rękach takiego potwora! rozpustnika!

X. Rozpustnika?!...

Y. Nie broń go pan!... Ja o tem najlepiej mogę wiedzieć!... Ale ja ją przestrzegę!

X. Zapóźno już.. Jutro ślub!

Y. Jutro?!... Co za niegodziwiec!... Wczoraj rano jeszcze obsypywał mnie pocałunkami!

X. Niegodziwiec, ani słowa.

Y. To są mężczyźni!

X. Nie wszyscy! pani!... nie wszyscy!...

Y. Ale ja im urządzę w kościele niespodziankę!...

X. (*n. s.*) Oj oj... (*gł.*) Niech pani tego nie robi!... Cóż ona winna?



Y. Prawda, to biedne dziewczę...

X. Biedne jak biedne... Ma 500.000 franków posagu.

Y. Pół miliona?!... A nikczemny!... Więc dla pieniędzy!

X. Nie łaskawa pani...

Y. Pan to pochwalasz?!...

X. Nie pochwalam, jako żywo! Jest nikczemny!... O jest! Nie żeni się jednak dla pieniędzy...

Y. To mi wszystko jedno. Ja nie mogę dopuścić do tego małżeństwa...

X. Droga pani!... Nie dokażesz pani tego a tylko siebie okryjesz skandalem...

Y. Świat stanie po mojej stronie!

X. Lecz ona stanie po jego stronie, bo go kocha.

Y. Kocha go!... Takiego potwora?!...

X. Ja sam się dziwię... Takiego potwora!... Ale go kocha.

Y. (*placząc*). Boże! Boże... Czegóż kazałeś mi dożyć?!... Po tylu przysięgach!... Codziennie mi je powtarzał!...

X. Codziennie?... (*n. s.*) A to gałgan! Mnie mówił, że tylko co drugi dzień!

Y. (*j. w.*) Wyrzekłam się dla niego od lat czterech świata, jego uciech, rozrywek, byle módz przy jego boku spędzać każdy wieczór... a dziś... dziś!... (*placze*).

X. Ależ droga... droga!... pani...

Y. Ja tego nie przeżyję!

X. Co znowu!...

Y. To będzie moja śmierć!...

X. Czyżbyśmy pozwolili?!... Ja pierwszy...

Y. O! Pan jesteś bardzo dobry!...

X. Ja jestem bardzo dobry.

Y. Pan nie postąpiłbyś z kobietą w tak nieszlachetny sposób.

X. Nigdy, pani!... nigdy!... Ja mu to powiedziałem!...

Y. Czemuż moje biedne, ufające serce właśnie na takiego jak on niegodziwca trafiło?!...

X. Wszystko da się jeszcze naprawić... Pani zapomni... Rany jej serduszka zagoją się... Nauuczona doświadczeniem nie będzie pani już ufać byle komu...

Y. Nikomu! Nigdy! Nikomu!

X. Nikomu?!... To za wiele!

Y. Nikomu!... Mężczyźni — to potwory.

X. Nie wszyscy pani! Są między nami lepsi i gorsi!...

Y. Tak, tak!... Z początku każdy jest z tych lepszych. Ale to trwa niedługo, bo w gruncie rzeczy wszyscy są gorsi! wszyscy co do jednego!...

X. Pani! Nie ma reguły bez wyjątku!... Ja pierwszy...

Y. Być może, że pan nie jesteś takim jak inni...

X. Nie jestem! Stanowczo!... I gdybyś pani tylko zechciała przekonać się...?

Y. Niestety... serce moje złamane tym ciosem, dusza moja spalona na popiół zawodami, nie zazieleni się już więcej...

X. Ależ zazieleni się! Dlaczego by się nie miała zazielenić! Nie trzeba tylko poddawać się rozpacz... Nie trzeba odwracać oczu i serca od całego świata, od tych zwłaszcza, którzyby... gdybyś pani tylko zażądała...

Y. O dzięki!... Szczera przyjaźń jest dzisiaj tak rzadką.



X. Bajecznie rzadką!... Ja zaś od pierwszej chwili, kiedy pani tu weszłaś... Pani!... ja zanadto jestem wzburzony, aby się móżdż maskować... Ja... widząc kobietę tak godną ze wszech miar kochania, której ktoś, co ją kochać powinien, przez idjotyzm czy brak szlachetnych uczuć nie kocha tak jakby należało, albo co gorsza zdradza — ja tę kobietę... ja ją zaczynam uwielbiać!... moje serce!... moje usta!... (*porywa ją w objęcia i raz po raz całuje*).

Y. Ależ panie!

X. (*odsuwając się*). Przepraszam, proszę mi wybaczyć, ale... ja musiałem!... To był hołd!... Ja... ja mam taką naturę, że... No musiałem!... Ja już teraz będę spokojny.

Y. (*złamanym głosem*). O nie nadużywaj pan, proszę, mej boleści...

X. Przysięgam pani, że nie nadużyję i że... bardzo trudno mi będzie dotrzymać tej przysięgi.

Y. Wszak zostaniemy przyjaciółmi? nieprawdaz?

X. Jestto mojem najgorętszem pragnieniem a jeśliby towarzystwo moje mogło sprawić pani w jej boleści jakąś ulgę... czy pozwoli pani odwiedzić się... pojutrze...

Y. Dlaczegoż nie jutro?

X. \*Tem lepiej!... Co za szczęście!... (*n.s.*) Przyjdę pod jakimkolwiek pozorem dziś jeszcze... (*gł.*) A teraz niech mi będzie wolno... (*sięga do kieszeni*).

Y. Cóż takiego?

X. (*wyjmując pakiet*). Wręczyć w jego imieniu listy pani i prosić nawzajem o jego listy... (*kładzie pakiet na stole*).

Y. Prawda! Jeszcze ten ostatni akt mych rozczarowań... Pozwoli pan? (*wychodzi w lewo*).

SCENA 3.

X. (*sam*). Co za zbrodniarz ten Gaston!... Porzucać taką czarującą istotę!... Wprawdzie ja powinienym mu być właściwie wdzięczny — bo gdyby jej nie porzucił!... Ale to nic! Wdzięczność swoją drogą a swoją drogą zbrodniarz... Kobiety się tak nie porzuca... Takiej ślicznej kobiety!... Na wszystko jest sposób, trzeba tylko umieć dyskretnie i zgrabnie wziąć się do rzeczy... Moja misja naprzykład!... Inny narobiłby kramu! kobieta by mdlała, spazmowała, zrobiła awanturę w kościele, oblała panu młodemu kwasem siarczanym frak, sama trułaby się octem albo musztardą... A ja?... elegancko, delikatnie, nietylko umiałem burzę zażegnać, ale w dodatku stworzyłem na poczekaniu sytuację, z której ja i ona możemy wysnuć najbardziej uroczą z sielanek...

SCENA 4.

PAN X. — PANI Y. (*wraca*).

Y. (*z pakietem w ręku*). Oto żądane listy...

X. A to te, które kazano mi pani wręczyć...

Y. Doprawdy, kiedy pomyślę, jak obojętnem dla mnie jest już w tej chwili to, co przed godziną jeszcze wydawałoby mi się może skarbem najdroższym?!

X. W istocie?!... Ach jak to dobrzel... (*patrząc na otrzymane listy*). Przepraszam panią, ale czy tu się nie zamieształ w pośpiechu żaden inny list, prócz...

Y. O nie! Miałam je w osobnej szufladce.

X. Ach! Więc Gaston umyślnie zmieniał pismo i podpisywał się imieniem Alfreda...



Y. Gaston?!... Co za Gaston?!...

X. No mój... nasz przyjaciel... w którego imieniu ja...

Y. (*rozrywając otrzymany pakiet*). Matylda?...  
To nie moje listy.

X. A to nie listy Gastona!

Y. Jakże się nazywa pański przyjaciel?

X. Gaston de Bouillon.

Y. Nie znam tego pana!

X. Więc pani nie jest panią Matyldą Rouquaud?

Y. Pani Rouquaud mieszka o piętro wyżej!  
nademną!...

X. Nieba! mnie się zdawało, że Gaston mówił:  
na 2-iem!

Y. Ależ na trzeciem!

X. (*n. s.*) Zginałem.

Y. (*n. s.*) Jestem skompromitowana.

X. ...Pani.

Y. Panie...

X. Ja... To jest pani... to jest... Panil... ja gotów  
jestem już odejść...

Y. Czekał pan!... (*n. s.*) Ależ on wie wszystko!  
Jeżeli sobie nie zapewnię jego dyskrecji...  
(*zalognie — gł.*) O której więc godzinie mogę się  
pana spodziewać jutro?...

X. (*n. s.*) Co? ona mnie nie wyrzuca?!... (*gł.*)  
O której pani każe...

Y. Więc o 3-ej popołudniu... Ale z pewnością...

X. Żeby nawet pioruny z nieba leciały!...

Y. Zatem liczę na pana! (*podaje mu rękę*).

X. (*całując — n. s.*) Ona jest czarująca!...

(*Kurtyna*).

